PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

Nr 3. **31. Grudnia.** **1874.**

Wychodzi z końcem każdego miesiąca.

BIÓRO REDAKCYI: Mikołajska Nr 437 w Krakowie.

ADMINISTRACYA: w księgarni A. Otremby nakładcy w Krakowie.

Cena przedpłaty:
Rocznie: 6. Zlr. = 4. Rs. = 4. Tal. = 14. Fran.
Półrocznie: 3. „ = 2. „ = 2. „ = 7. „
Kwartalnie: 1. 50. „ = 1. „ = 1. „ = 3. 50. „
Pojedynczy Nr kosztuje 60 ct. = 35 kop. = 12 sgr. 1 Fr. 25 cent.
Ogłoszenia księgarskie przyjmuje Admistracya po 6 ct. od wiersza.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ: nakładca A. Otremba księgarz w Krakowie, oraz wszystkie większe księgarnie w kraju i za granicą.

W Warszawie skład główny w księgarni Ferdynanda Hösicka.

Treść.

Pedagogia.

Lucyan Falkiewicz: O poznawaniu temperamentów dzieci w zastósowaniu do wychowania, dla rodziców, opiekunów, wychowawców i nauczycieli szkół ludowych. W Krakowie nakładem księgarni i wydawnictwa „czytelni ludowej“ A. Nowoleckiego. 1874 str. 129 8vo.

40] Tytuł ten nie odpowiada wcale treści książki; w książce bowiem jest mowa nie tylko o temperamentach i ich zastósowaniu w wychowaniu, ale także o talencie i gieniuszu, a w osobnych rozdziałach „o uczuciu, woli, rozumie i rozsądku, wyobraźni, umyśle czyli wiedzy.“ Część druga traktuje o metodyce i dydaktyce, a dodatek zawiera aforyzmy pedagogiczne, wyjęte z pozostałych pism Franciszka Karpińskiego. Lecz mniejsza o to: tę niezgodność tytułu książki z treścią przebaczylibyśmy chętnie autorowi, gdyby książka sama, choć w przybliżeniu odpowiadała temu, czego po takiej książce dzisiaj wymagamy. Autor niepomny na Horacyuszowskie „scribendi recte sapere est principium et fons“ wziął się do dzieła, przechodzącego znacznie jego umysłowe siły. Najprzód podstawa psychologiczna, jaką stara się dać swej nauce o wychowaniu, nie wytrzyma żadnej umiejętnej krytyki. Autor nie przestudyował ani jednego dzieła traktującego o psychologii, a nawet zdaje się, że nie czytał żadnego nowszego o tej nauce kompendyum. Inaczej byłby przynajmniej wiedział, co jest temperament, a co przyrodzone usposobienie człowieka (naturel), że podstawą pierwszego jest system nerwowy, drugiego habitualny ustrój całego ciała, zawisły od właściwości krwi, muskulatury, budowy kości i t. p. a w drugiej linii od pochodzenia, klimatu, wieku, płci i t. d. Tymczasem określa autor temperament raz jako „przyrodzone właściwości człowieka,“ drugi raz jako „owo uposażenie natury czyli ten dar, w którym spoczywa najlepsza siła człowieka i to, do czego tenże pierwotnie jest przeznaczony“(!!). Niemniej mylnem albo niedokładnem jest to, co autor o poszczególnych temperamentach, o talencie i gieniuszu mówi. Talent nazywa raz „zmysłem do pewnego przedmiotu, połączonym z wielką łatwością w wykonywaniu, raczej(?) objawianiu jakiegoś uzdolnienia,“ drugi raz „łatwością do przyswojenia sobie pewnej zręczności(!!)“ Gieniusz jest zdaniem autora „połączeniem zmysłu z talentem,“ to znowu „owem nader szczęśliwem usposobieniem natury, objawiającem się w miłej i wdzięcznej harmonii wszystkich (tak!) pięknych i szczytnych przymiotów duszy“...!! Autor wierzy jeszcze w jakieś wrodzone myśli i uczucia, pomimo że już Locke mylność podobnego twierdzenia udowodnił, i hipostazuje uczucie, wolę, wyobraźnię, rozum i umysł jako realne potęgi ducha, które Herbart tak trafnie mitologicznemi istotami nazywając, jako czyste abstrakcye umiejętnego myślenia przedstawił. Co autor o różnych stanach duszy mówi, jest po największej części mylne, bałamutne lub niedorzeczne. Oto kilka próbek: Miłość ludzi i uczucie honoru należy zdaniem autora do zakresu umysłu czyli wiedzy, obłuda do zakresu wyobraźni; wdzięczność nazywa autor najwyższą cnotą wyobraźni, odwagę cnotą woli, a energię cnotą umysłu i t. p.

Przypatrzmy się jeszcze, jakie autor ma pojęcie o wychowaniu, i z jaką konsekwencyą uczy nas tej sztuki. „Poznać dziecko jako wychowańca jest to wejrzeć w jego duszę czyli temperament (a więc dusza to samo, co temperament?), z którego jak z ziarnka kiełkuje albo zbawienne pożywienie, albo jadowita trucizna (tak!!).“ Nieco niżej czytamy: „Losy narodów i kształcenie następnej gieneracyi zależą przeważnie od wychowania publicznego.“ Myli się autor: wychowanie domowe ma tu przewagę. „Wychowanie publiczne ma na celu naukę, a nie zajmowanie się indywidualnem usposobieniem każdego ucznia.“ (str. 5) Pytamy, najprzód czy nauka jest jedynym celem szkoły; powtóre, czy można nawet uczyć skutecznie dziecko, nie znając jego usposobienia? Kary cielesne na-

zywa autor na jednem miejscu (str. 58) „barbarzyństwem popełnionem na godności człowieka,“ na drugiem miejscu (str. 89.) ostatniem pomazaniem, w którem spoczywa nadzieja podźwignienia chorego z jego moralnego upadku.“ Na str. 74 czytamy: „Do pewnego wieku, mianowicie do 10. roku życia, odbywa się wychowanie po największej części bez pewnego z góry określonego planu.“ Autor pochwala tę bezplanność, „byle tylko wychowawca miał prawdziwe poczucie swego obowiązku, posiadał zmysł swego powołania(!) i właściwy takt.“ Na str. 83. mówi autor, że „szkoła wychowuje do innych (?) cnót niż rodzina,“ a nieco niżej, że „krzewienia uwagi, sumienności, schludności, posłuszeństwa, zamiłowania prawdy, życzliwości, sprawiedliwości.... nie podobna wymagać od wychowania domowego“ (tak!). Czytamy tam dalej przepisy, że „ucznia trzeba karać tym samym błędem;“ że „niechlujni mają za karę zamiatać szkołę,“ a „gnuśni przychodzić pół godziny wcześniej do szkoły.“

Druga część książki pod napisem „Metodyka i dydaktyka“ pełna mylnych lub niedokładnych pojęć, a nadto z niezwykłą traktowana powierzchownością. Wybór przedmiotów naukowych należy zdaniem autora do metodyki. Całą właściwą metodykę zbywa autor — któżby uwierzył — temi słowy: „Co się tyczy traktowania przedmiotów naukowych, o tem tyle tylko powiedzieć można“ — jeżeli się więcej nie wie — „że powinno być zawsze swobodne t. j. biegłe (a więc swoboda a biegłość to jedno i to samo!), wytwarzające życie i czyn, nadto ochocze i świeże.“ Wdrażanie dzieci w uwagę, porządek i posłuszeństwo należy zdaniem autora nie do moralnego wychowania, ale do dydaktyki i metodyki. Naukę czytania radzi autor rozpocząć przed nauką pisania; nauka rysunków ma się zaczynać od rysowania z natury; gieografii uczy się w ten sposób najlepiej, „że się wyprowadza dziecko z jego zagrody i przechodzi z niem najprzód po bliskiej okolicy, następnie przeprowadza go (zamiast je) się w różnych kierunkach po ojczystym kraju i t. d.“ Ciekawi jesteśmy, czy autor jako były nauczyciel tej samej trzymał się metody przy nauce gieografii i rysunków, jaką nam przepisuje. Nauka języka rodzinnego należy zdaniem autora do wiadomości pamięciowych (tak). Wszelkie metody, używane dotychczas przy nauce rachunków, uważa autor za rozwlekłe i naciągane; radzi więc „jak najprędzej wziąść po kolei wszystkie cztery działania do ćwiczenia i ciągłem powtarzaniem i zastósowywaniem nowo wyuczonych z poprzednio już nabytemi sposobami (ale jakiemi?) ustawicznie tak je wiązać, aby się takowe z sobą uzupełniały.“ Nauczyciele nasi wdzięczni będą szanownemu autorowi, że jednem zdaniem obalił dotychczasowe rozwlekłe i naciągane metody nauki rachunków i postawił nowe, które ich domysłowi zostawia. O gramatyce ojczystego języka czytamy na str. 114: „Użycie gramatyki o tyle tylko może być uwzględnionem (!), o ile do poprawnego pisania i prostowania prowincyonalizmów (!) posłużyć może; zresztą nie ma żadnej wartości praktycznej (!!).“ O pierwszych ćwiczeniach stylistycznych tak pisze autor: „Wyraz czyli odbicie myśli w pojedyńczych niepowiązanych zdaniach odpowiadają (!) stopniowi poznawania przedmiotów a tem samem uczuciu.“ Któż to zrozumie? Podobnych zdań znajdujemy pełno w dydaktyce i metodyce p. F.; nie spotykamy się zaś nigdzie z pojęciem dedukcyi, indukcyi, analizy, syntezy, katechetyki, sokratyki i t. p.

Co do wysłowienia zarzucamy autorowi najprzód pewną czczość, napuszystość i nienaturalność. Oto dowód: „Wyobraźnia, to słońce poezyi i sztuki, utwierdzone w konstellacyi innych gwiazd świetlanych i mniej jasnych na umysłowem niebie duszy ludzkiej, — którego najbliższym trabantem jest rozum, a przedewszystkiem tegoż najjaśniejsze gwiazdy, świadomość i pamięć i t. d.“ Nie brak też rażących wykroczeń przeciw gramatyce i frazeologii. I tak: spójnik bowiem stawia autor kilkakrotnie na początku zdania; zamiast niż kładzie jak; zamiast: rozumie się przez to, mówi autor: rozumie się pod tem. Czytamy: „próbek podejmować“ — „gniew upamiętywać“ — „pilność mająca coś nader w sobie samej zalecającego“ — „dzieci należy pobudzać do wytrwałości tylko samej w pracy“ — „dary uczniów zobojętniać“ — „używać czas“ — „dźwiganie lżej“ (może: łatwiejsze) — oną zamiast onę, go zamiast je i t p. Co zaś szczególnie i nieznośnie razi, ta ustawiczna niezgoda autora z interpunkcyą; mianowicie o użyciu przecinka nie ma autor najmniejsz go wyobrażenia.

Osądziliśmy autora ex ore ejus. Sąd ten wypadł bardzo niekorzystnie; książka pana F. nie ma żadnej — nie mówimy naukowej, ale nawet praktycznej — wartości, i żałujemy mocno, że Wydawnictwo Czytelni ludowej wzięło w swój nakład tak lichą pracę.

B. T.

Historya.

Kazimierz Jarochowski: Dzieje panowania Augusta II od wstąpienia Karola XII na ziemię polską aż do elekcyi Stanisława Leszczyńskiego (1702—1704). Poznań. Merzbach. 1874. Str. XXI i 646. 8vo.

41] Po 18letniej przerwie występuje obecnie p. J. z dalszym ciągiem dziejów Augusta II. Obfitego materyału źródłowego dostarczyły mu do tego nowego tomu nie tylko liczne i ważne publikacye źródłowe, jakie w ostatnich czasach przybyły, ale nadto, co ważniejsza, archiwa państwowe w Dreźnie, Kopenhadze, Stockholmie, archiwum grodzkie w Poznaniu i rękopism rogaliński. Nie są to wprawdzie już wszystkie źródła, któreby do tej epoki zebrać się dały: szczególniej też szkoda, że autor nie sięgnął jeszcze do archiwum wiedeńskiego, tak dostępnego pod obecnym zarządem; że nie uwzględnił większej liczby również dostępnych archiwów grodzkich, jak np. krakowskie, że wreszcie nie zwrócił uwagi na liczne pewno rękopisma z tego czasu w Kórniku, Krakowie i Lwowie. W każdym jednak razie zyskał p. J. daleko gruntowniejszą podstawę dla swego opowiadania, niż ją miał w pierwszej części dziejów Augusta II, kiedy z drukowanych dzieł tylko korzystał. Ztąd też pochodzi, że ten tom 2gi, choć o połowę krótszy czas obejmuje niż 1szy, bo tylko od początku 1702 do lipca 1704 r., jest jednak dwa razy większy od poprzedniego.

Na podstawie więc tych bogatych, krótko lecz dosyć dokładnie w przedmowie wyliczonych, źródeł, kreśli nam p. J. obraz walki między Augustem II a Karolem XII w pierwszym jej okresie, układów i negocyacyi, jakie się równocześnie toczą, stosunków dyplomatycznych, które August na wszystkie strony zawiązać usiłuje, stosunków mocarstw sąsiednich do obu

stron walczących, stosunków obu przeciwników do Polski, zrazu w tej walce neutralnej, choć się ona w jej granicach prowadzi, usiłowań jednej i drugiej strony, aby pozyskać sobie cały naród, wreszcie interesów, jakiemi się ten naród kieruje. Streszczać tego opowiadania tu nie możemy, a wyliczenie tytułów 7 rozdziałów, na które się opowiadanie w obecnym tomie rozpada, nie wiele by o treści samego dzieła pouczyło. Dość powiedzieć, że obraz to wcale nie wesoły; nigdzie żadnego wyższego celu, nigdzie żadnej osobistości, ku którejby albo jakibądź pociąg uczuć można, lub któraby imponowała, wywołała silniejsze uczucie, chociażby wstrętu lub nienawiści. Sami to mali ludzie, nędzne nimi kierują cele i egoistyczne pobudki, prywata, interes własny. Nie wiedzą właściwie ani czego chcą, ani jak chcieć powinni: zdaje im się, że kierują wypadkami przez swe intrygi, a tymczasem wypadki te ich pchają. A skutkiem tego chaos prawdziwy, zamieszanie bez granic i końca. Na uboczu jeszcze nieco od spraw polskich stoi w tych czasach Piotr W., jedyna osobistość prawdziwie imponująca: bo wie czego pragnie i do celu swego zmierza konsekwentnie i wytrwale.

Przy „białym dniu archiwalnej prawdy“ widzi p. J. i opowiada ten cały nieład, to bezgraniczne rozerwanie, ten zupełny brak poczucia godności w narodzie i jego upadek moralny, zagrężnięcie w egoiźmie. Czuje p. J. mimowolnie, że przecież i ta forma rządu polskiego, przy której taki stan był możebnym, musiała być temu jeżeli nie wyłącznie to przynajmniej niemało winną: a to go powstrzymuje od tak jak dawniej wyraźnego dla republikańskiej wolności zapału. Bo wiadomo wszystkim, co się historyczną naszą literaturą zajmują, jak p. J. stając w obronie szlacheckiej demokracyi polskiej, gotów był dowodzić jej wyższości nad wszystkie współczesne konstytucye innych krajów, jak uniewinniał, a nawet pochwalał szlachtę, co się wszelkim usiłowaniom, aby wzmocnić władzę królewską, gwałtownie opierała. Ale choć się p. J. miarkuje, to jednak swych zapatrywań się nie zrzeka: i tu nieraz o słuszności obaw szlachty przed „zgroźliwem dominium absolutum“ mówiąc, z przekąsem się odzywa o „aposteryorycznym zapale dla monarchii absolutnej“ tych, którzy odmiennie się na polskie stosunki państwowe zapatrują. Powiada, że „przypisać powodzenia Szwedów prostemu niedołęstwu narodu, czy też rozkładowi organizmu rzplitej byłoby niedorzecznością“ (str. 160); uważa, że to raczej winna temu „gra partykularnych interesów.“ A czemże nazwać taką grę, która w rezultacie anarchią wywołuje, takie „rozprzężenie“ że „wśród interesów prywatnych i obojętności ogółu,“ ginie „myśl godności narodowej, zbiorowy rozum publiczny i poczucie cnoty publicznej“ (str. 4), jeśli nie rozkładem organizmu politycznego? Toż to nie o monarchią absolutną chodzi przeciwnikom p. J., lecz o rząd silny, bez którego żadne państwo istnieć nie może, mniejsza o to czy on będzie monarchiczny, arystokratyczny, lub nawet demokratyczny. A jeżeli zwolennicy silnego rządu ku monarchii sympatye swoje skłaniają, to czynią to dla tego jedynie, że tylko od królów myśl wzmocnienia rządu, naturalnie monarchicznego, wychodziła: a to wzmocnienie rządu uważają oni za rzecz tak konieczną, iż za tę cenę nawet na absolutną monarchią gotowi się zgodzić. Jedyną odpowiedzią na te monarchiczne sympatye mogłaby być ta, gdyby zwolennicy republikańskiej wolności wykazali, że i na podstawie dotychczasowych stosunków rząd silny był możebnym, a co ważniejsza, że o stworzeniu takiego rządu myślano wśród szlacheckiej demokracyi. Tego zaś nikt, i p. J. także, nie uczynił dotąd: a póki to nie nastąpi, każdy nieuprzedzony będzie musiał przyznać słuszność tym, co się zwracają w tę stronę, gdzie o tym niezbędnym warunku trwałości państwa myślano.

Lecz, jak wspomniano, szan. autor w dziele obecnem ze swojemi zapatrywaniami się nie rozwodzi i raczej się do stanowiska opowiadacza ogranicza. Krytycznym rozbiorem pojedynczych części tego opowiadania zająć się nie pozwalają nam ramy niniejszej recenzyi: zresztą recenzent w źródłach, po archiwach złożonych, rozpatrzeć się nie jest w stanie; a porównać przedstawień p. J. z innemi nie można dla tego, że dzieło jego jest jedyną dotąd w naszej literaturze obszerniejszą samodzielną pracą historyczną o tych czasach, dzieła zaś obce, które do nich się odnoszą, nie zajmują się nigdy dokładniej stosunkami polskiemi. Raczej więc na sam układ dzieła i oczywiste, choć drobniejsze, niedokładności w niem zwrócimy uwagę. Otóż w całem opowiadaniu widoczną jest wielka rozwlekłość, niekiedy nużąca. Nie w tem ją upatrujemy, że w znacznej objętości książce opowiedziano dzieje tylko półtrzecia roku; lecz w tem, że autor, nie zawsze panując nad przedmiotem, zwłaszcza też w pierwszych 3 rozdziałach, coraz to do innej rzeczy przeskakuje, a następnie, nawiązując na nowo, często się powtarza; że podaje często wiele rzeczy dosyć obojętnych, i sporo im miejsca poświęca, jak np. szerokim opisom zewnętrznych stron różnych uroczystych aktów (np. str. 43, 587 i w innych miejscach); że wylicza nieraz po kilkanaście osób biorących udział w jakiejś rzeczy, choć ich nazwy nic nie objaśniają (str. 303, 344); że podaje in extenso długie nieraz akta i dokumenta a potem znowu treść ich innemi słowami omawia, podnosząc wybitne ustępy; wreszcie że kilkakrotnie jedne i te same cytaty in extenso przytacza, np. w notach na str. 155 i 216, na str. 394 i 426).

Ale przy tej rozwlekłości, w innych znów miejscach brak objaśnień bardzo pożądanych; zwłaszcza też brakuje wytłumaczenia prawnej podstawy i prawnego znaczenia niektórych wydarzeń. Zjazd pod Sandomierzem (sierp. 1702), zwany bywa zazwyczaj konfederacyą sandomierską. P. J. nigdzie mu tej nazwy nie daje: ale nigdzie też nie objaśnia, jakie zatem według prawa publicznego było jego znaczenie. Zjazd w Jaworowie w listopadzie 1703 nazywa pospolicie p. J. radą lub także zjazdem, ale też (str. 432) i sejmem, choć parę wierszy dalej znów radą. Czemże więc był według prawa? Nie zrozumiemy postanowień skarbowych sejmu lubelskiego (str. 334) bez objaśnień, których jednak tu nie ma; a przykłady drożyzny w Toruniu w czasie oblężenia (str. 412) nie dadzą o niej żadnego wyobrażenia, jeśli nie znamy zwykłych cen tychże produktów, a tych cen nie podano. Bez wyjaśnienia całkiem nie wiedzieć, zkąd się bierze owa straż brandeburska dodana w Warszawie prymasowi dla bezpieczeństwa (str. 173 i 182), skoro przecież Warszawa nie była w mocy Brandeburczyków; ani też podobna zrozumieć, co chce powiedzieć prymas w swym liście (str. 187), gdy mówi o prześladowaniu kościoła „które ustało przez narodzenie się kościoła pod Augustem.“ (sic).

Należy także wspomnieć o dziwnych u p. J. sprzecz-

nościach: w zjeździe sandomierskim brało udział tylko 6 województw Małopolskich (str. 100); Wielkopolskie miały swój zjazd oddzielny, zkąd się pod Sandomierz nie udały (str. 101 i 114); a jednak (str. 105) Lipski, wojew. kaliski, przybył pod Sandomierz na czele pospolitego ruszenia swego (więc kaliskiego) województwa. Autor powołuje się na archiwalne źródła: tylko z nich więc sprawdzić i rozwiązać tę sprzeczność by można. Lubomirski podkanclerzy kor. (535) będzie pewno tylko lapsus calami zamiast: podkomorzy; ale jakże zrozumieć to, że już w lipcu 1702 zostaje duński jenerał Trampe w służbie Augusta (93) a w grudniu 1703 August zamierza go dopiero wezwać do wstąpienia w swą służbę (441)? że hr. Zinzendorf raz jest posłem cesarskim przy królu szwedzkim (str. 90, 480); to znów przy rzeczypospolitej (369)? że Meuschen (którego depesze są jednem z głównych źródeł p. J.) raz jest posłem duńskim (319, 480), to znów tylko sekretarzem ambasady duńskiej (483, 544)?

Pozostaje nam już tylko powiedzieć słów kilka o stronie zewnętrznej dzieła. Styl p. J. jest odpowiedni takiemu na szeroką skalę założonemu opowiadaniu, trzeźwy i od wszelkiej napuszystości wolny. Za to w języku rażą bardzo gęste dziwactwa, dobrym pisarzom nieznane, jak „przenigdy;“ „odczekać kogo lub czego;“ „krwawe drogi,“ w znaczeniu złe (o gościńcach to mowa), „wojsko deptało (lub deptało miejsce) około Warszawy;“ „padać się oburącz w objęcia Szwedów.“ Wyrażenia: „jądra Wielkopolski — świeć na tem zjeździe“ niktby nie zrozumiał, gdyby poprzednie opowiadanie nie pokazywało, że to ma znaczyć: WPolski tam nie było; a słowo „znaleźć“ z imiesłowem; „wojsko znalazło się oblężonem,“ „myśl znalazła się poruszoną,“ i t. p. bezustannie się obok innych błędów czy prowincyonalizmów powtarza.

Nowa zatem książka p. J., głównie jako opowiadanie wielu nieznanych rzeczy, jest pracą ważną i pouczającą, z wyraźnem staraniem o bezstronność napisaną; tylko pożądanem by było, aby autor, jeżeli do dalszego ciągu przystąpi, obecnie dających się spostrzedz niedokładności unikać się starał. Szczególniej zaś pragnąć należy, aby w przyszłości wykazał, o ile istniejący podówczas w Polsce ustrój polityczny oddziaływał na przebieg wypadków, o ile pod ich zostawał wpływem; bo tego właśnie od prawnika najbardziejby się można spodziewać. *W. Zk.*

А. Петровъ: Война Россіи съ Турціей и польскими конфедератами съ 1769—1774 года. (A. Pietrow: Wojna Rossii s Turcijej i polskimi konfiedieratami s 1769—1774 goda). T. III, IV, V. St. Petersburg, druk Trubnikowa, 1874. 8vo. Str. 323 i 11 planów; 234 i 157 i 9 kart; 211 i 4 plany.

42] Powyższe dzieło, (którego pierwsze dwa tomy wydane zostały jeszcze w 1866), opracowane na podstawie źródeł przeważnie rękopiśmiennych, dotyczy tak mało dotąd wyjaśnionych dziejów polskich z drugiej połowy XVIII wieku. Autor, pułkownik generaln. sztabu, kreśli historyę wojny Rossyi z Turcyą i konfederatami barskimi głównie ze stanowiska strategicznego: z największą drobiazgowością wyczerpuje bogate źródła archiwalne, przedstawia wszystkie szczegóły wojennych operacyi, marszów, bitew, drobnych nawet potyczek, dołączając mappy i plany text objaśniające. Obok tego podaje także autor pogląd na historyczny rozwój współczesnych wypadków, na przyczyny które wywołały tę wojnę i na dyplomatyczne kombinacye doprowadzające w końcu do traktatu 5 Sierpnia 1772 roku. Ale ta część początkowa jest nadzwyczaj słabą i wykazuje, że autor bynajmniej nie jest historykiem. Pogląd ten bowiem jego ani nie odznacza się jasnością ani jest dokładnym: całkiem tu błędne pojmowanie celów i dążności głównych postaci historycznych, kombinacye dyplomatyczne przedstawiane mylnie, tak iż rozdziały te są bez żadnej wartości historycznej.

Za to z początkiem 1769 r., gdzie rozpoczyna p. P. szczegółową historyę wojny z Turcyą i konfederatami, na każdej prawie karcie znajdujemy mnóstwo nowych szczegółów, dat i wiadomości zkądinąd nie znanych; mianowicie ciągłe walki i potyczki z oddziałami konfederatów wielkie budzą zajęcie, bo każda z nich dokładnie opisana, przy każdej podana liczba wojska ze stron obu, plany ataków i pochodów, wreszcie ilość zabitych i rannych i t. d; jednem słowem zestawione tu wszystkie najdrobniejsze fakta w porządku chronologicznym. W ten sposób dzieło p. P. mogłoby stanowić nadzwyczaj ważny materyał dla ówczesnych dziejów Polski, gdyby nie pewna okoliczność, na którą zwrócić należy uwagę. Autor korzystał jako ze źródeł z urzędowych raportów i sprawozdań jednej ze stron wojujących; opis każdej bitwy oparty na takich raportach dowódców rossyjskich. Otóż te raporty zawsze wyraźnie mówią o „zawziętej“ lub „rozpaczliwej“ obronie strony przeciwnej: a mimo to rażąca w nich nieproporcyonalność strat obustronnych. Tak np. raport jenerała Izmajłowa (26 Lutego 1769) o wzięciu Żwańca i Okopów powiada, iż w Żwańcu było 400 ludzi, a w Okopach 320; po zajęciu zaś obu miejsc tych zaledwie 100 konfederatów (w tej liczbie dowódcy) ratowało się ucieczką, reszta wszyscy zginęli lub wzięci do niewoli; ze strony zaś rossyjskiej zabito 1 praporszczyka i 4 żołnierzy: a przecież właśnie tu o rozpaczliwej obronie konfederatów świadczy tenże raport. Pod Włodawą (raport pułkownika Reyne 7 Września 1769), zabito 500 ludzi a wzięto do niewoli 130, ze strony zaś rossyjskiej zabito 5 ludzi i raniono 16. We wszystkich bitwach takiż sam stosunek nie dający się żadną miarą pogodzić z ową zawsze stwierdzaną „zaciętą obroną.“ Widoczna więc, że raporty te nie koniecznie są wiarogodne. Dzieje się to zawsze i wszędzie: w tym wypadku trudność kontroli przy wojnie partyzackiej jeszcze bardziej ułatwiała podawanie cyfr dowolnych. Ale też ztąd wynika, że chcąc z powyższego dzieła korzystać, nader oględnie potrzeba przyjmować cyfry, co wartość jego o wiele zmniejsza. Znajdą się tu atoli inne szczegóły, które wyświecić mogą nie jeden fakt historyczny.

I wojna z Turcyą opisana na podstawie takichże samych raportów: i tu więc należy zrobić takież same zastrzeżenie. *K. P.*

Archeologia i sztuka.

Rocznik dla Archeologów, numizmatyków i bibliografów polskich za Rok 1871, wydał Dr. **Stan. Krzyżanowski.** Kraków, nakł. wydawcy 1874. Str. 487. 8vo.

43] Publikacya pretensyonalna, ułożona bez metody i złożona w dziale sztukę obchodzącym w znacznej części z faktów niedokładnych albo nie mających żadnéj wartości. Wiadomości przedrukowane bez krytyki z pism

codziennych i zestawione jedne obok drugich jak w spisie magazynu ciekawości, w którym człowiek boi się czegoś kupić, bo w nim całość nie budzi zaufania. W roczniku Dr. K., książka wycięta z deski drewnianéj i pomalowana, znajdująca się w Gabinecie archeologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, która tam może służyć za okaz ornamentacyj kościelnych pewnej epoki, przypisana jest Wohlgemuthowi na podstawie tradycyi pochodzącej zapewne od kogoś, który z autora zażartował (str. 234). Krytyki i recenzye samego wydawcy po większéj części pisane bez znajomości przedmiotu: robi on zarzut w imieniu nauki autorowi „Monografii Szadka“ (str. 372) używania wyrażeń „styl wiślano-baltycki“ albo „sklepienie beczkowe,“ które uważa za nowy zupełnie wymysł, nie wiedząc o tem, że pierwsze z tych wyrażeń używane przez niektórych pisarzy niemieckich, powtarza się w większej części prac prof. Łepkowskiego, a że drugie jest o tyle późniejszem od wyrażenia: „*Tonnengewölbe*,“ o ile literatura sztuki u nas jest młodszą od niemieckiej. W roczniku tym zamieścił wydawca część rozprawy Dra Brandowskiego, która jednak już osobno w całości się ukazała i której „Przegląd“ oddzielny poświęca artykuł. Zresztą, prócz kilku wiadomości interesujących w artykule „Archeologia na Litwie“ i w pobieżnie pisanych notatach p. Kunasiewicza, jedyną jeszcze pożyteczną częścią Rocznika jest praca Dra Władysławą Wisłockiego o Rękopisach i drukach zakładu Ossolińskich, nabytych w 1871 r. Mimo całej bibliograficznéj ścisłości i charakteru jej naukowego wkradły się w tę pracę niektóre niedokładności. Na str. 302 Dr Wisłocki mówi, że Ungler r. 1511 zjechawszy do Krakowa przywiózł ze sobą 100 drzeworytów wyrobu Norymberskiego(?) bardzo ciekawych a ważnych dla historyi sztuki i kultury, bo rozpowszechnionych w tak wielkiéj ilości druków, jak te, które autor wylicza. Skąd jednak Dr Wisłocki tę wiadomość zaczerpnął, zkąd wie, że one przywiezione i że są wyrobu norymberskiego? W braku świadectw piśmiennych należało poprzeć to gołosłowne twierdzenie porównaniem współczesnych pomników i dowodzeniem, które by je usprawiedliwiło, usunęło wątpliwości czytelnika i zaspokoiło jego ciekawość. Historya każdego drzeworytu większego jest ważna, bo w formie swéj niesie on od niéj nieodłączną treść zarazem; a dorywcze twierdzenia tego rodzaju są zanadto rozpowszechnione w naszych naukowych publikacyach, abyśmy je mogli pomijać milczeniem. *Mr. S.*

Dr. Alfred Brandowski: Założenie Uniwersytetu krakowskiego. W Rocznikach dla Archeologów i w osobnej odbitce, w Krakowie. Str. 342. 8vo.

44] Krytycznym sądem na polu badań dziejowych niegrzeszyli ogółem biorąc Polacy ani w XVIIItem ani też bieżącem stuleciu. Rzadko jednak przedmiotu w całej naszej historyi, któryby pod ręką nieumiejętnych badaczów urósł do tak wielkiej baśni jak założenie Uniwersytetu w Krakowie przez Kazimierza W. Świadectwa historyczne odnoszące się do tego faktu — cztery dyplomata i wzmianka Długosza — znane były już z dyplomataryusza Uniwersytetu wydanego, prawda że nie zupełnie krytycznie, przez Kołłątaja, a pomimo to ludzie piszący o założeniu uniwersytetu albo źródła te pomijali albo też przystępując do badania z pewnym z góry powziętym planem, z bezrozumną żądzą panegiryzmu, systematycznie je przekręcali i w nieudolnej fantazyi swej gmachy z kart napiętrzyli. Przyszło do tego, że spierano się o datę założenia uniwersytetu, chociaż przywilej erekcyjny ją najwyraźniej podawał. Wszystkie te wymysły pierzchnąć musiały przed światłem krytyki, jaką wnosi nowsza historyczna szkoła.

Wdzięczne więc nader zadanie obrał sobie w pracy, o której mowa, p. A. Brandowski. Powracając do autentycznych a w najnowszym kodexie dyplomatycznym dokładnie z oryginałów wydrukowanych dyplomatów do założenia uniwersytetu przez Kaźmierza W. się odnoszących, przedstawił nam historyę fundacyi w prawdziwem i wyraźnem świetle. Niebyło tu żadnych wielkich trudności do pokonania, szło tylko o to, aby autor znał dobrze metodę historycznego badania i umiał ją zastosować. Zaletę tę pracy p. B. przyznajemy z ochotą. Widząc szczupłość źródeł, spostrzegł autor, że wszystko na ich dobrem zrozumieniu zależy. W tym celu rozglądnął się bliżej w organizacyi uniwersytetów zagranicznych spółczesnych Kaźmierzowskiemu, przedewszystkiem zaś w organizacyi uniwersytetów bolońskiego i paryskiego, które wszystkim innym za wzór i za modłę służyły. Z organizacyą tą zapoznaje p. B. czytelnika w pierwszym rozdziale swej pracy opierając się na Savigny'ego: Geschichte des röm. Rechts im Mittelalter. W Bolonii rząd wewnętrzny uniwersytetu opierał się na uczniach podzielonych na korporacye (narody), w Paryżu na profesorach; w pierwszej był republikańskim, w drugim nonarchicznym. W Bolonii wodziła rej swobodna nauka prawa, w Paryżu rządziła bezwzględnie karna scholastyczna teologia. Uniwersytety środkowej Europy, o których się autor na podstawie dzieła Raumera: Geschichte der Pädagogik w drugim rozdziale książki swej rozwodzi, różniły się tem od pierwszych, romańskich, że nie wytworzyły się same przez się w skutek rozbudzonej już chęci do samodzielnej nauki w narodzie, ale zakładane były przez panujących, aby naukę tę rozbudzić i krzewić. Miały one nadaną sobie z góry gotową organizacyę i to organizacyę monarchiczną uniwersytetu paryskiego, która większą zapewniała karność i więcej odpowiadała teologii scholastycznej panującej w XIVtym i XVtym wieku wszechwładnie.

Otóż trzymając się ściśle aktu erekcyjnego Kaźmierza W. i bull Urbana Xgo, wykazuje p. B. w głównej części swej pracy, że Uniwersytet w Krakowie założonym był pierwotnie w r. 1364, nie na wzór paryskiego, jak inne spółczesne mu uniwersytety w środkowej Europie, ale na wzór uniwersytetu w Bolonii. Organizacya jego opierała się więc na samorządzie studentów, brakowało teologii a nad wszystkiemi naukami górowało prawo rzymskie tłomaczone na podstawie zbiorów Justyniańskich. Organizacyę tę uważa p. B. za niewłaściwą dla Polaków, którzy duchem porządku się nieodznaczali a dla których prawo rzymskie praktycznej doniosłości niemiało.(?) Dlatego upadł w krótce uniwersytet Kaźmierza W., i dopiero Jagiełło wskrzesił go i zapewnił mu trwalsze podstawy bytu przez nadanie mu organizacyi paryskiej i przyznanie pierwszeństwa teologii i prawu kanonicznemu.

Oto główne wyniki, które nam książka p. B. obok mnóstwa cennych szczegółów podaje. Wrażenie, które praca ta sumienna w czytelniku pozostawia, byłoby też najlepszem, gdyby go niemąciły różne okoliczności, których źródłem jest ostatecznie niewprawa i niezro-

zumienie swojego własnego interesu ze strony pisarza w przedstawieniu przedmiotu.

Dowodem tej niewprawy w przedstawieniu rzeczy są przypiski dochodzące do takich rozmiarów, że od str. 122 do 342 mamy zaledwie jeden lub dwa wiersze właściwego textu u góry a resztę papieru zajmują drobno drukowane przypiski. Nie należymy wcale do przyjaciół tego sposobu pisania dzieł naukowych, że przypiski niemal są wykluczone, jak to czynią Francuzi. W przypiskach pragniemy widzieć przytoczone źródła i literaturę, do przypisków odnosimy wszystkie uwagi zbaczające od głównego toku opowiadania i polemiczne wycieczki. Ale p. B. w sztucznem tworzeniu przypisków najzacieklejszych niemieckich uczonych daleko pozostawił za sobą. W skutek tego chcąc przeczytać jedno zdanie, trzeba kilka kartek przewrócić, ręka czuje się zmordowaną, a uwaga czytającego nietylko nie może się skupić i spocząć, ale się nieustannie do przypisków odrywa i zbacza. A przecież był na to sposób. Wiele z rzeczy, które p. B. umieścił w przypiskach, np. rozprawa o miejscu gdzie założonym był uniwersytet, należy wprost do textu i tylko autor nieumiał z nich bądź osobnych rozdziałów utworzyć, bądź w opowiadanie zręcznie i właściwie wcielić. Ale są i takie przypiski, a nawet śmiało powiemy, połowa wszystkich przypisków tego jest rodzaju, że ją koniecznie w interesie samego dzieła należało wyrzucić i zupełnie pominąć. Tu należą najpierw przypiski może mozolnie i dobrze zebrane, które żadnego związku niemają z przedmiotem rozprawy. Niech zrozumie kto chce, my niepojmiemy, jaki cel mają w dziele o założeniu uniwersytetu przypiski na str. 12, 14 i 15, w których autor, dlatego że w texcie wspomniał o Pytagorasie, Platonie i Arystotelesie, rozbiera szczegółowo przydomki, jakie dawano tym mędrcom, rozbiera filologicznie znaczenie ich nazwiska i podaje daty z ich życia. Autor ma w ogóle zwyczaj, że o czemkolwiek wspomina w texcie, choćby o rzeczy najbardziej znanej, o tem zaraz w przypisku elementarne wiadomości podaje. Czyż człowiek, który z dzieła ściśle naukowego ma korzystać, może do jego czytania bez tych wiadomości przystąpić, czy nie może zresztą znaleść ich w każdym podręczniku i encyklopedyi? Gdzieindziej pisze autor z umysłu jakieś słowo niezrozumiałe, aby je módz w przypisku zaraz z wielką erudycyą wyjaśniać. Tak np. na str. 137 tłomacząc przywilej Kaźmierza pisze p. B. „przez te *camerae* wypada w takim razie k o n i e c z n i e rozumieć *hypogea concamerata* czyli piwnice sklepione.“ Poczem zaraz uwaga: „W łacinie jest dwojaka forma, *hypogaeos, on* (*hypogaea loca* Cael. Aur. Acut. 2. 37. 191; *hypogaeum*, Petron. 111. 2) albo *hypogeos* (hypogeum Vitr. 6. 8. 1.); w greczyznie jest nawet trojaka....“ Nie lepiej że było zamiast tych gramatycznych wywodów trzymać się Du Cange'a albo zajrzeć do spółczesnych i dawniejszych przywilejów Krakowskich z r. 1257, 1306, 1358 i tp. w których *camera* często się znachodzi a zawsze znaczy „sklep, izba, kram,“ ale nigdzie „piwnica!“

Inne przypiski wynikły z prawdziwej polemicznej gorączki, która tak nieraz owładnęła autorem, że zapomina o przedmiocie i celu swej pracy a za cel stawia sobie: zmiażdżyć przeciwnika za najdrobniejsze słowo lub wyrażenie i dowieść mu oczywistego nieuctwa. Zadaniem i granicą polemiki w dziele ściśle naukowem powinno być zbijanie argumentów, które zostały podniesione lub dadzą się r o z s ą d n i e podnieść przeciw jakiemuś twierdzeniu. Jeżeli jednak twierdzenie to zostało już w texcie niewątpliwie udowodnionem, poćóż zbijać bezpodstawne wywody, które temsamem same przez się upadły? Jeżeli się wytknęło błąd pisarzowi, który go pierwszy postawił, lub w naukowej pracy uzasadnić się starał, pocóż wytaczać proces laesae maiestatis autorom książek popularnych, którzy go bez pretensyi do samoistnych badań powtórzyli? Mógł być p. B. pewnym, że autorowie ci, tak samo jak niegdyś korzystali z Wiszniewskiego lub Łukaszewicza, tak teraz po ukazaniu się jego źródłowej i za taką uznanej pracy, tamtych porzucą a z niej bezwarunkowo i chętnie będą swe wiadomości czerpali. Można było we wstępie jako o curiosum wspomnieć o fikcyjnej historyi Uniwersytetu napisanej w XVIII wieku przez Radymińskiego; ale brać tę historyę na seryo, i potykać się z nią ustęp w ustęp jak to robi p. B. jest dla nas rzeczą niepojętą i wydaje się jak walka z próżnem powietrzem. Jest w przypisach p. B. innego jeszcze rodzaju polemika, która każdemu najwstrętniejszą być musi. Jest to polemika z dziennikarstwem, w której autor „szczerze dziękuje“ przychylnym mu recenzetom w politycznych pismach, a nieprzyjaznym zarzuca „żakowstwo, złośliwą przewrotność, ducha kłamstwa i najśmieszniejsze nieuctwo.“ Ostatni przypisek na str. 342 jest płaskim panegirykiem, który przypomniał nam najsmutniejsze czasy XVIIIgo stulecia.

Kończąc spostrzeżenia nasze nad przypisami p. B. jedną jeszcze uczynimy uwagę. Zapytajmy, czy owa polemika potępiająca bezwzględnie nietyle pisma ile samych autorów nie jest dla samego p. B. niebezpieczną? Czy autor sądził, że i jemu nieprzytrafi się zbłądzić, a wtenczas cóżby powiedzieli ci, których on sam tak bezwzględnie potępił? Na str. 327. dop. 41. np. pisze p. B. długą apostrofę Muczkowskiemu i Mecherzyńskiemu, mówi: „szerzą się błędy jak zaraza“ i t. p. karcąc ich za to, że słowo Długosza „Universitas“ odnosili do Uniwersytetu krakowskiego, zamiast do „ogółu mieszczan krakowskich.“ Zdaniem p. B. słowo „Universitas“ bez dodatku „studium“ u Długosza nie oznacza Uniwersytetu. A przecież lepiej czytając Długosza mógł się był autor przekonać, że samo słowo „Universitas“ u Długosza kilkakrotnie np. XI. 608 i XIII. 51 a osobliwie XIII. 27 jedynie się do Uniwersytetu krakowskiego odnosi. Zresztą Długosz, wyliczając osoby i instytucye, które Jagiełło o zwycięstwie pod Grundwaldem uwiadomił listami, niebyłby słowa „Universitas“ położył przed „Consulatus Cracoviensis,“ gdyby Universitas w tem miejscu miało znaczyć krakowskie jak mówiono „pospólstwo.“ Dzieło p. B. nie jest więc wolnem nietylko od mniejszych, ale nawet od większych zasadniczych usterków. Już w samym wstępie, gdy autor mówi o uniwersytecie wiedeńskim, nie należało się ograniczać do dzieła K i n c k a ale trzeba się było oprzeć na nowszem i lepszem A s c h b a c h a: Geschichte der Wiener Univ. im ersten Jahrh. ihr. Besteh. 1865; mówiąc o klassycznych studyach w XV wieku korzystać by raczej wypadało z dzieła Jerzego V o i g t a: Enea Silvio als Papst Pius II und sein Zeitalter. 3 tomy. 1857—1862. lub ostatecznie z A s s m a n n a: Gesch. des Mittelalt. III. 384 sq. niż jak to autor czyni chociażby z takiej encyklopedyi jak E r s c h a i G r u b e r a. Z mniejszych błędów przytoczymy kilka oczywistych

dla samego przykładu. Na stronie 110 dop. 44. twierdzi p. B., że nauki klassyczne pielęgnowano w Uniwersytecie krak. dopiero w drugiej połowie XVgo wieku, kiedy znaną było i jest rzeczą, że jeszcze przed r. 1440 wykładał w tymże uniwersytecie Grzegorz z Sanoka Bucolica i Georgica Wirgiliusza, komedye Plauta i satyry Iuwenalisa. Na str. 145 wierzy autor w istnienie szkół Benedyktyńskich w Polsce już w X stuleciu. Na sobór Bazylejski posłowie uniw. krak. jeździć niemogli w r. 1430 (str. 330 dop. 43), gdyż sobór ten dopiero w r. 1431 w Grudniu otwarto, a posłowie Uniw. krak. dopiero w r. 1434 i nie ci których autor wymienia udali się do Bazylei. Paweł z Brudzewa nie nazywał się Paulus de Vladimiria ale Paulus Vladimiri (Dług. XII, 186), na czem p. B. jako filolog przedewszystkiem spostrzedz się był powinien. Do cesarza Zygmunta jeździł wreszcie w r. 1414 nie Piotr Wolfgang (str. 330 dop. 43) ale Piotr Wolfram (Dług. XI. 348).

Powinien więc był autor pamiętać, że nawet na słońcu znajdą się plamy i dla drugich więcej być wyrozumiałym. Książka jego trwałą niewątpliwie ma wartość, ale pozostanie na zawsze dowodem, że prof. filologii klassycznej tak mało przejął się duchem klassycznego spokoju i tym wyższym beznamiętnym na wszystko poglądem, który tak podziwiany w starożytnych pisarzach.

A. S.

Do powyższej oceny z innego stanowiska kilka dorzucimy o książce p. B. uwag. Uto zgoła niezrozumiałą jest dla nas rzeczą, że autor, który z taką skrzętnością pozbierał najdrobniejsze broszurki, o których tylko wspomnieć się dało, niezna zupełnie badań A. Z. Helcla nad ustawodawstwem Kaźmierza W., niezna z pierwszéj ręki obrazu rządów i prawodawstwa skreślonego mistrzowskiem piórem na str. CCXIV i nast. Tomu I. Starodawnych prawa polskiego pomników. A przecież cały pogląd na czasy Kaźmierza Wgo dziś się jedynie na pracach Helcla opiera, a przecież Uniwersytet Kaźmierza W. był głównie jak to p. B. sam mówi akademią prawniczą. Założenie jego było wypływem tej samej myśli, która dała początek Wiślickiemu i Piotrkowskiemu ustawodawstwu. W pominięciu badań Helcla leży też najważniejsza, zasadnicza całego dzieła pana B. wada. Autor zdaje się niepojmować jaki wyższy polityczny i społeczny cel miał Kaźmierz W. ustanawiając w Krakowie naukę prawa rzymskiego na obszerną skalę, skarży się na „upośledzenie prawa kanonicznego“ mimo ustanowienia trzech katedr, kiedy zdaniem jego prawo rzymskie jakto było w Pradze i Wiedniu „podrzędne stanowisko powino było zajmować“, żali się na Kaźmierza W. że „pomimo odmiennych stosunków polskich bezwarunkowo trzymał się wzoru bolońskiego,“ powiada wreszcie „że uniwersytet Krakowski niemiał żadnego względę na prawo ojczyste, (sic) niemiał katedr odnoszących się do rzeczy swojskich ani wykładów zostających w ścisłym związku z prawem polskiem (sic).“ Że też to p. B. nie powiada, kto miał prawo polskie w XIVtym wieku wykładać i jak te wykłady miały wyglądać? Wszakże prawo ówczesne polskie i nauka jego w ten tylko sposób mogła się była rozwijać, że Polacy poznawali umiejętność prawa na wzorach, których przedewszystkiem prawo rzymskie i jego kwitnąca podówczas nauka mogły im były dostarczyć.

Blade też i mętne są pojęcia autora o republikanizmie i monarchizmie polskim w XIVtem stuleciu; bo zamiast za przewodem Helcla wniknąć głębiej w istotę ówczesnego polskiego państwa i w ducha reform Kaźmierzowskich, autor trzyma się rysu filozofii historyi polskiej umieszczonego na wstępie Historyi wyzwolonej Rzpltej prof. Walewskiego i w zapale swym woła na str. 150, „rys ten powinien być dla nas owym biblijnym słupem ognistym“! Zdaniem też naszem nie dla tego upadł uniwersytet Kaźmierza W., że organizacya jego była republikańską a prawo rzymskie dzierżyło przewagę, ale dlatego, że wśród przewrotów politycznych i społecznych po śmierci Kaźmierza Wgo niebyło w Polsce instytucyi, któraby się w całości ostała. Przewrotów tych niebyłby przetrwał bez szwanku uniwersytet nawet z teologią i professorskiemi rządami. Znając zaś możliwą doniosłość prawa rzymskiego dla Polski i dla polskiego prawa, wyobrażając sobie czem uniwersytet Krakowski mógł się stać w XV wieku, gdyby w nim prawo rzymskie kwitnęło, niemożemy się zgodzić na zdanie autora, żeby upośledzenie prawa rzymskiego a wyłączność teologii od czasów wskrzeszenia uniwersytetu przez Jagiełłę były warunkiem jego rozwoju i naprawieniem „błędu i winy (!)“ Kaźmierza Wgo.

M. B.

Władysław Łuszczkiewicz: Malarstwo cechowe krakowskie XV i XVI w. i charakterystyka jego zabytków. Rozpraw wydziału filolog. Akademii Umiej. T. I i w osobnym przedruku, w Krakowie 1874. str. 20, 8vo.

Tenże: Malarz monogramista K-I i obrazy jego w kościołach krakowskich z lat 1514, 1515, 1516. Tamże i w osobnym przedruku str. 64. 8vo.

Józef Łepkowski: O Modlitewniku Zygmunta I, króla Polskiego, rękopisie dochowanym w Bibliotece monachijskiej. Tamże, i w osobnym przedruku, str. 6. 8vo.

45] Pomimo tego, że zużytkowanie archiwalnych źródeł na polu historyi sztuki leży u nas dotąd odłogiem, nieraz jednak pisano o malarstwie cechowem polskiem. Tak przywilej wydany przez Zygmunta Augusta z r. 1570 cechowi krakowskiemu, jak ustawy tegoż cechu przedrukowywane były kilkakrotnie z nieocenionej wartości kodexu Balthazara Behma, a Rastawiecki ogłosił i ustawy cechu szklarskiego warszawskiego, do którego i malarze należeli, z r. 1556 w tomie 3im Słownika. Wiadomości te jednak, tak ważne dla historyi średniowiecznej kultury — jeśli nas pamięć nie myli — nie powiązane były nigdy z dziełami sztuki. Wiedzieliśmy, że i u nas jak dalej na zachodzie malarze i rzeźbiarze, tak jak stolarze, złotnicy i szklarze tworzyli razem rzemieślniczą i w początkach swych wielce silną organizacyę cechową, która z natury rzeczy musiała wywierać wpływ przeważny na artystyczną działalność; aleśmy dzieł, które z łona tych cechów wyszły, dokładnie nie znali. Pierwszy o ile wiemy Prof. Łuszczkiewicz w powyższej rozprawie łączy te oderwane wiadowości o cechach malarskich z dotykalnymi a przechowanymi szczęśliwie po dziś dzień owocami ich pracy, twierdząc stanowczo a słusznie, że najznaczniejsza część obrazów średniowiecznych uchodzących za utwory staro-niemieckiej szkoły a zdobiących nasze kościoły, mianowicie krakowskie, jest dziełem mistrzów cechu malarskiego, których skromne nazwiska są zapisane w aktach radzieckich. Autor daje nam pobieżne

wyobrażenie o obrazach cechowych w Przeworsku (r. 1409), w Ruszczy (r. 1425), w Krakowie w katedrze (r. 1467), u Dominikanów (1532—1590), o stacych u św. Idziego i obrazach ołtarzowych u św. Katarzyny i popiera to wszystko dołączonym do rozprawy rysunkiem, obznajmiającym nas z kompozycyą i charakterem ogólnym tej cechowej rzemieślniczej sztuki. Żałujemy, że Prof. Ł. w tej za nadto może dorywczej pracy nie zastanowił się bliżej nad wpływem samej organizacyi cechu na ducha artystycznej działalności, że jej ustaw dotąd znanych nie porównał z ustawami cechów niemieckich i że nic nie powiedział o materyalnej stronie techniki tej sztuki, która z jej stylem ma tak ścisły związek. Na innem miejscu rozpisaliśmy się szerzej o niektórych błędnych według nas poglądach autora: tutaj notujemy tylko w krótkości, że zwyczaj przedstawiania postaci świętych w wielkich rozmiarach względnie do postaci fundatorów i zwykłych ludzi, malowanych obok tamtych na małą skalę na tym samym obrazie, jest niewłaściwie przez Prof. Ł. uważany za „naleciałość byzantynizmu.“ Jest on bowiem wspólny wszystkim sztukom naiwnym i młodym tak w przedchrześcijańskim jak w chrześcijańskim świecie. Ten sposób wyrażania różnic moralnych różnicami fizycznych rozmiarów uderza wprawdzie w naszych cechowych obrazach jeszcze w XVII w., ale niesłusznie Prof. Ł. nie może znaleźć jego przykładów „w żadnej ze znanych mu szkół niemieckich lub flamandzkich już w XV a cóż dopiero, jak mówi, w XVI w.“ W całej Europie północnej w XV dopiero wieku na wielką się on skalę rozpowszechnia a w Niemczech ślady jego również jak u nas znaleźć by można w cechowych produkcyach nawet w XVII. Widocznym on jest w obrazie Albrechta Dürera z r. 1511. przedstawiającym św. Trójcę, w Belwederze wiedeńskim, również jak w miniaturze z opactwa św. Floryana z r. 1519, która pierwotną myśl tegoż mistrza do „Tryumfalnego wozu Cesarza Maxymiliana“ wyraża. Błąd ten jest dla tego ważnym i niebezpiecznym, że fałszywie powiększa wpływ wschodni byzantynizmu na rozwój naszej sztuki a co zatem idzie i kultury w przeszłości.

46] W drugiej daleko obszerniejszej i ściślej opracowanej rozprawie, zasłużony autor „zabytków dawnego Budownictwa“ daje nam obszerną analizę dzieł malarstwa wyrastających po nad poziom rzemieślniczych cechowych produkcyj i wchodzących wartością swą w sferę rzeczywistego artyzmu, mianowicie obrazów przedstawiających sceny z żywotów św. Katarzyny w Skarbcu kościoła N. P. Maryi i św. Jana Ewangelisty w kościele św. Floryana w Krakowie. Aby nam wytłomaczyć stosunki nasze z zachodem w zaraniu odrodzenia pod względem sztuki w ogóle a malarstwa w szczególności, przedstawia nam Prof. Łuszczkiewicz na wstępie bardzo barwny i pełen życia obraz Krakowa na początku XVI stulecia. Zastanawia się następnie nad znaczeniem dla średniowiecznej sztuki żywotów świętych „Złotej legendy“ Jakóba z Voraginy i zestawia odpowiednią z nich treść z treścią i kompozycyą powyższych obrazów. Z kolei charakteryzuje malarstwo niemieckie i mówi o właściwościach dwóch głównych tego malarstwa szkół współczesnych, norymberskiej i augsburskiej, analizuje ze stanowiska artystycznego same obrazy, które prawdopodobnie z ostatniej z tych szkół wyszły, rozbiera charakterystyczne cechy ich rysunku i kolorytu i nakoniec zręcznie dowodzi, że autorem tych obrazów, nie był „civis norimbergensis Johannes Sues“ na nich podpisany a nieznany jako artysta, ale przypuszczalnie Hans Knoderer z Augsburga, nadworny malarz cesarza Maxymiliana, którego monogram K-I również się na nich znajduje. Są niektóre ustępy w tej pięknej pracy, któreby pod względem treści za wzór traktowania tego rodzaju przedmiotów podać można. Taką zdaje nam się być szczególniej analiza rysunku a w części i kolorytu. Nie z zupełną jednakże ścisłością i konsekwencyą jest dotrzymany charakter naukowy przy rozwinięciu przedmiotu. Autor nie daje nam żadnych dowodów przekonywających, że ten obraz Krakowa w części jeszcze średniowiecznego, który oczom naszym przedstawił, nie jest wymysłem jego wyobraźni, ale historyczną rzeczywistością, każe na weń wierzyć jak w dogmat i o wątpliwości czytelnika się nie troszczy; charakteryzując przytem szkoły niemieckie, mimo obszernego ustępu jaki im poświęca, nie wychodzi z nieujętych ogólników, nie pozostawia w umyśle naszym nic dobitnego, wyraźnego, dotykalnego, coby nam ich różnice uprzytomniło a na co byśmy się zgodzić mogli. Mówi wprawdzie „że szkoła frankońska odtwarza cały świat fantastyczno-ludowy niemiecki a szkoła szwabska cicha, spokojna, reprezentowaną jest przez artystów pełnych religijnego namaszczenia a miłości niezrównanej dla przyrody i swojskości;“ ale wiedząc, że dzieła norymberskiego Dürera pod względem „religijnego namaszczenia i miłości dla przyrody i swojskości“ nie ustępują z jednej strony zupełnie dziełom augsburskich Holbeinów, a przypominając sobie z drugiej, że „świat fantastyczno-ludowy niemiecki“ nie miał dosadniejszych i wierniejszych reprezentantów w sztuce współczesnej, jak mistrz „Tańca śmierci,“ jak szwabscy malarze Hans Baldung Grien, Nathan Manuel Deutsch a szczególniej Ursus Graff, którego wszystkie produkcye noszą cechy wybujałej, chaotycznej a ludowej fantazyi: wyciągamy napróżno ręce, aby te tak sformułowane różnice ująć, ścisnąć i streścić; przy zastanowieniu się bliższem giną one przed naszemi oczyma, jak nieujęte widma mgieł porannych przy brzasku dnia. Druga ta rozprawa również jak pierwsza opatrzona jest rysunkami, dającymi nam wyobrażenie o obrazach, o których mowa. Jest to wielką zaletą w publikacyach sztuki. Nie wszystkie jednak rysunki nas zadawalniają. Obie tablice z żywota św. Katarzyny są dowolnie przez rysownika ozdobione pewnym kalligraficznym akcentem, który zaciera czystość linij i zamieniając skromną reprodukcyę na interpretacyę obrazów daje nie dość wierne o ich piękności pojęcie. Mimo tych drobnych usterek, których wytknięcie było nam wskazanem samym tytułem naszego pisma, a z których ostatnia dotycząca rysunku jest, o ile wiemy, zupełnie niezależna od autora, piękna i gruntowna rozprawa Prof. Ł. zasługuje pod każdym względen na uznanie i uwagę ludzi interesujących się sztuką. Po za obrębem integralnej swej i niezaprzeczonej wartości, jako praca akademicka miała ona i tę dodatnią stronę, że wywołała w łonie Akademii dyskussyę, w której Prof. Łepkowski złożył dokumenta dowodzące, że istniał obywatel norymberski Hans Sues von Culmbach, który był malarzem i mógł używać monogrammu H. K., a którego związek z obrazami opisanymi przez Prof. Łuszczkiewicza, prace poźniejsze prawdopodobnie wyjaśnią.

47] Prof. Łepkowski odszukał w Bibliotece Uniwersytetu Monachijskiego rękopis polski XVI w. z miniaturami malowanemi w kraju, który powiększa ubogi zasób materyałów do historyi naszej sztuki. Ze samego suchego opisu powyższego modlitewnika Zygmunta I, czyli tego „Szczytu dusznego," jak go tytuł nazywa, zaczynającego się od słów: „Jeślij Smatkiem kto był jakim obtziaziony, tedy szie ma przezegnatz naprzód" wieje na nas pełna poezyi woń poczciwych prastarych czasów, tak jak z roślin zapomnianych między kartkami starej książki a które zapachu swego nie straciły. Że fundatorem tego rękopisu był kapłan i biskup, a może Jan Chojeński, kanclerz koronny, jak się Prof. Ł. domyśla, dowodzi tego między innemi i sam wybór przedmiotów do ozdób na oprawie, zgodnie z duchem współczesnych ornamentacyj: w pośrodku zwierzchnej okładki: Arcykapłan; w pośrodku spodniej: ofiara Abrahama. Żałujemy jednak, że do tych skąpych kilku kartek napisanych z bibliograficzną dokładnością nie dodał autor chociażby za pomocą kalki zrobionego rysunku, któryby nam o charakterze miniatur dał wyobrażenie, i że nie zastanowił się bliżej nad artystyczną i techniczną stroną samych rysunków i malowideł. Rozszerzyły by się ramy szczupłej notatki, ale w miejsce „wiadomości" — mielibyśmy opracowane już w części źródło do historyi sztuki krajowej. *Mr. S.*

Nauki prawne.

Dr. Fryderyk Zoll, Prof. Uniw. Krak. **Ueber die verbindliche Kraft des Gewohnheitsrechts** im Justinianischen Recht mit Bezugnahme auf die heutigen Gesetzbücher, insbesondere das allgemeine deutsche Handelsgesetzbuch. (Odbitka z Iheringa Jahrbücher XIII. N 6. I.) W Jenie, nakładem Mauke'go (Hermann Lufft). 1874 8o str. 49.

48] Rozprawę wymienioną odczytaliśmy ze szczególnem zainteresowaniem się. Autor poruszył w niej i zdaniem naszem zupełnie trafnie rozwiązał sporną od dawna kwestyą, co do stosunku prawa zwyczajowego do ustaw. Co się tyczy istoty prawa zwyczajowego wyznaje autor teoryą, zainaugurowaną przez Savignyego i Puchtę, zaliczając jednak słusznie także zwyczaj do czynników powstania prawa zwyczajowego (str. 3—4). Przyznając następnie ścisłość konsekwencyi panującej obecnie teoryi, że prawo zwyczajowe może nietylko uzupełniać, ale także uchylać prawo obowiązujące, chociażby takowe było objęte w ustawach (str. 5) przychyla się autor do zdania tych prawników nowszych (str. 5—7, 31—35), którzy twierdzą, iż obszerne ustawodawstwo nie powinno przyznawać prawu zwyczajowemu mocy derogatoryjnej. Nawet zupełne wykluczenie prawa zwyczajowego (tj. także praeter legem) nie byłoby zdaniem autora szkodliwem, szczególnie w państwach z ustrojem parlamentarnym. Takie jest zapatrywanie autora ze stanowiska dzisiejszego prawa, zgodne z przepisem ustawy cywilnej saskiej; do niej też odwołuje się autor, jak niemniej do powszechnego kodeksu handlowego. — Większa jednak część rozprawy (str. 7—31) odnosi się do pytania, jakie stanowisko prawo zwyczajowe w prawie Justyniańskiem zajmowało, i tu przyznać musimy autorowi, iż na uzasadnienie teoryi, do której się przychylił, dobył silnych argumentów. Kiedy dotąd powszechnie za główne źródło do rozwiązania rzeczonej kwestyi, uważano L. 2. C. quae sit longa consuetudo (8. 53.), L. 32 §. 1. D. de legi. (1. 3), tudzież §. 11. J. de jur. natur. (1. 2), godząc w rozmaity sposób zachodzącą antinomię, to przeciwnie autor przenosi punkt ciężkości do tych konstytucyj, któremi Justynian bądź to polecał ułożenie zbiorów, bądź też takowe publikował. Z tych to konstytucyj wyprowadza autor i ten wniosek, że prawo zwyczajowe ustępowało jednak przed prawem objętem w zbiorach Justyniańskich, nie mogło zatem powstawać contra legem, ponieważ Justynian w §§ 5, 7, i 11 const: Deo auctore, tudzież w §§ 12, 19 i 21 const: Tanta: wyraźnie wypowiedział zasadę, że do tych przypadków, dla których w zbiorach Justyniańskich jakie przepisy się mieszczą, te przepisy wyłącznie stosowane być mają, ponieważ dalej w § 4 const: Cordi nobis: ustawodawstwo jako jedyny środek do poprawienia przepisów w zbiorach zawartych wskazał. Wymownie potwierdza to Nov. 106. cap. 1., w której Justynian, potwierdzając zwyczaje względem oprocentowania pecuniae traiectitiae, podaje za powód: quia cum legibus jam latis non pugnant. Na podstawie tych źródeł przyznaje więc autor pierwszeństwo przepisowi, zawartemu w L. 2. C. quae sit longa cons: (8. 53), odrzucając interpretacye Puchty, Savignyego, Vangerowa i innych, które naturalnemu znaczeniu wyrazów tej konstytucyi się sprzeciwiają; ustępom zaś L. 32 § 1 D. de leg. (1. 3), tudzież § 11 J. de jur. nat: (1· 2.) odmawia autor znaczenia dogmatycznego, uważając je za materyał historyczny. — Godzimy się na zdanie autora, jesteśmy bowiem przekonani, że takowe wypływa jasno już z samej L. 2 C. quae sit lon. consu. (8. 53), tudzież z L. 32 pr. i L. 33 D. de leg. (1. 3), jeżeli tylko bez uprzedzenia, nie patrząc się przez pryzmat jakiej teoryi wyrozumowanej, weźmiemy te ustępy w tem rozumieniu, jakie znaczenie i składnia wyrazów same przez się podają. Autorowi należy się zasługa, iż zkąd innąd wydobył inne jeszcze wymowne argumenty na uzasadnienie tej teoryi, a w obec nich tem więcej jest uzasadnionem zaliczanie sprzecznych ustępów do rzędu zapisków historycznych.

Od prawa zwyczajowego odróżnia autor, zgodnie z panującą teoryą, prosty zwyczaj, zwyczaj faktyczny i rozbiera jego znaczenie tak w prawie rzymskiem, jak i w obec kodeksów obecnie obowiązujących, zatrzymując się najdłużej przy powszechnym kodeksie handlowym. W ogóle uznaje autor zwyczaj za źródło do interpretacyi objawionej woli w czynnościach prawnych, większe jednak znaczenie przyznaje mu ze stanowiska prawa handlowego, w czem nie możemy zgodzić się z autorem. Zgadzamy się w tem z autorem, że zwyczaj handlowy służy do interpretacyi objawu woli stron działających, a zatem idzie przed przepisem legis dispositivae, nietylko wtedy, gdy strony wyraźnie do niego się odwołały, lecz i wtedy, gdy to z innych okoliczności, a nawet z ich milczenia wnosić można. Zdanie to wypływa bowiem z dobrze pojętej istoty legis dispositivae i z niewątpliwych przepisów art. 278 i 279. Natomiast nie możemy podążać za zdaniem autora, że zwyczaj handlowy ma być stosowany także wtedy, jeżeli brakuje lex dispositiva i nie ma wyraźnego lub domniemanego odwołania się stron do tego zwyczaju, zgoła że w tym przypadku zwyczaj służy do zastąpienia (Supplirung) woli stron działających. Opinia ta stoi w związku ze sporną, jak wiadomo, kwestyą, czyli wyraz: „Handelsgebräuche — zwyczaje handlowe," użyty w art. 1. ustawy handlowej, odnosi się się tyl-

ko do prawa zwyczajowego, lub także do prostych zwyczajów. Mimo wywodów autora pozostajemy przy zdaniu tych prawników, którzy pomienionemu wyrazowi znaczenie ciaśniejsze nadają. Zastąpić wolę stron, stanowić, że w braku oświadczenia stron to lub owo za ich wolę ma być uważane, może tylko norma prawa, a więc prawo zwyczajowe, a nie prosty zwyczaj. Zwyczaj faktyczny nie może mieć żadną miarą tej mocy przymusowej — (i autor uważa jus dispositivum w braku oświadczenia stron za jus cogens. str. 16. n. 27), a nadanie mu takowej nie jest niczem innem, jak podniesieniem zwyczaju do stanowiska normy prawnej, czego żadna ustawa, bo to sprzeczne z naturą rzeczy, — dokazać nie może. Przeciw zdaniu autora przemawiają inne jeszcze powody. Najpierw art. 1. ustawy handlowej stanowi o źródłach prawa w sprawach handlowych, — czemu Gerber zupełnie niesłusznie przeczy, źródłem prawa zaś może być tylko prawo zwyczajowe, a nie prosty zwyczaj. Powtóre przyznając wyrazowi „zwyczaje handlowe" znaczenie obszerniejsze, popadamy w sprzeczność z przepisami art. 278 i 279. Według tych artykułów służą zwyczaje faktyczne do interpretacyi objawu woli stron działających, idą zatem przed przepisami ustawy handlowej, o ile takowe należą do jus dispositivum, gdy przeciwnie art. 1. stanowi, że zwyczaje handlowe idą w zastosowanie dopiero w braku przepisów w kodeksie handlowym (tak z charakterem legis cogentis, jak dispositivae), że zatem przepisów legis dispositivae uchylać nie mogą. Tej antinomii, z brzmienia wyrazów wypływającej, nie możemy inaczej ominąć, jak przez nadanie wyrazowi „zwyczaje handlowe" w art. 1. znaczenia: prawo zwyczajowe handlowe. Zdaniem naszem więc służą zwyczaje faktyczne i ze stanowiska prawa handlowego tylko do interpretacyi objawu woli stron działających. Z tem wszystkiem nie myślimy wcale zapoznawać podniesionych przez autora trudności, jakie praktyka ma do zwalczenia z powodu tego odróżnienia prawa zwyczajowego od zwyczaju, naukowo zupełnie uzasadnionego, i wolelibyśmy inaczej rzecz mieć rozstrzygniętą w ustawie, ale z drugiej strony i sam autor przyznaje (str. 41), iż są przypadki, w których z wszelką stanowczością orzec można, że tu mamy do czynienia z prawem zwyczajowym, tam z prostym zwyczajem. Owoż to, co w tych przypadkach stanowi kryteryum pomienionej różnicy, może i dla innych okazać się odpowiednią wskazówką. *L. P.*

Dr. Aleksander Bojarski: Dwa zabytki polskiego sądownictwa karnego z wieku XVIgo. 8o. str 59. Odbitka z I tomu Rozpraw wydziału hist. filozof. Akademii Umiej. w Krakowie 1874. Str. 59. 8vo.

49] Rozprawka wprawdzie drobna ale naprzód rzecz posuwająca. Niemałe zajęcie budzą ogłoszone przez p. B. protokóły rozpraw, jakie się odbyły w sądzie królewskim jedna w r. 1537 przeciw Mikołajowi Russockiemu o zabicie Tomasza Lubrańskiego, druga w r. 1548 przeciw Janowi Drzewickiemu o zabicie Mikołaja Russockiego. Stawiając nam przed oczy całe ówczesne postępowanie sądowe, dowodzą one, jak ważnem byłoby dla nauki ogłoszenie aktów sądowych z XVIgo stulecia. P. B. odkrył w nich inną jeszcze stronę nadzwyczaj ciekawą. W obu bowiem rzeczonych wypadkach mord popełnionym został na senatorach udających się z obowiązku swego urzędu na zwołane przez króla sejm i sejmiki, których w tym wypadku prawo polskie uważało jak „członki ciała J. królewskiej Mości" a gwałt im zadany jako zbrodnię obrażonego majestatu. Brak jednak było w ustawach polskich przepisu, któryby na winnych zbrodni majestatu karę określał. Otóż wspomniane protokóły rozpraw sądowych stanowią dowód, że w obu wypadkach w braku własnych ustaw do prawa rzymskiego się ucieczono i legem 5. Cod. IX. 8 ad legem Iuliam Maiestatis do nich stosowano. Spostrzeżenie to sprawdza p. B. na wszystkich innych znanych mu w Polsce procesach o zbrodnię majestatu, w szczególności na procesach z r. 1620, 1679 i 1773; a zestawiając te procesy z odnośnemi ustawami, tłomacząc ich ustępy i wyrażenia, przychodzi do przekonania, że prawo rzymskie było rzeczywiście prawem pomocniczem w Polsce co do spraw karnych — w sprawach o obrazę majestatu. Poruszając jednak na nowo kwestyę o mocy obowiązującej prawa rzymskiego w Polsce, stawia ją p. B. na stanowisku dzisiejszej umiejętności. Mówi bowiem: „Rzeczy dzisiaj tak stoją, że nie można w tej kwestyi dalej opierać się na rozumowaniu, ale trzeba poszukiwać ukrytych po archiwach aktów sądowych, bo te tylko mogą nas oświecić i przyczynić się do ustalenia prawdy." *M. B.*

Andrzej Hajdinger: Adwokat domowy. Przedład podług 11. wydania niemieckiego. W Cieszynie nakładem Malika 1874; dotąd zeszytów 6. str. 480. 8vo.

50] Lepsza dobra kopia, niż zły oryginał. To zdanie niewątpliwe niechaj usprawiedliwi krótką wzmiankę o powyższem w Niemczech tak rozpowszechnionem i praktycznem dziele, które polecić można każdemu, kto o istniejącem w Austryi prawie krótką, jasną i dostępną chcę powziąć wiadomość i poradzić sobie w naglącej częstokroć potrzebie, zanim zasięgnąć może rady uczonego prawnika. Wszak już stary Euripides powiedział: „Hańbą byłoby, gdybyś wiedział, co między ludźmi i bogami się dzieje i dziać będzie, a niemiał żadnej znajomości prawa." Sposób opracowania tego praktycznego dzieła w języku polskim na zupełne zasługuje uznanie. Sprostowanie błędów wydania niemieckiego — domieszczenie najnowszych przepisów i rozporządzeń np. na str. 352, 361 i t.d., nowych a nader praktycznych wzorów np. str. 339 i nast. — a nadewszystko czystość języka, opartego na wyrazownictwie słownika wydanego staraniem akademii umiejętności są nader cennemi zaletami opracowania. Zasługę zaś rzeczywistą oddali tłumacze literaturze — podawszy całą ustawę wekslową (str. 303—327) według klasycznego, aczkolwiek zupełnie zapomnianego tłumaczenia Zielińskiego (Bibl. Warsz. 1851 str. 546—575). Przeto opracowanie sumiennie czytelnikom, nawet prawnikom z zawodu, możemy polecić i życzymy tylko, aby dobre wyrazy przyjęły się u nas — gdyż dotychczas tylko jesteśmy mistrzami w skażeniu języka i nielitościwie odrywamy Prof. Dr. Skobla od zawodowych zajęć, przymuszając go do coraz nowych zbiorów naszych śmiertelnych grzechów językowych. Wydawcę zaś na pobratymczej ziemi Szlązkiej zachęcamy do dalszych użytecznych wydawnictw. — Nawiasowo tylko wspominamy, że zapowiedział na rok przyszły bardzo pożądane dla prawników wydanie „Powszechnéj księgi ustaw cywilnych" z późniejszemi rozporządzeniami i poglądem na prawodawstwo inne, tudzież

literaturę, opracowane przez Prof. Kasparka i Zatorskiego). *F. K.*

Nauki społeczne.

Dr. Leon Biliński, Prof.: Ekonomia społeczna, jej rozwój w XIX stóleciu i stan jej w bieżącej chwili. Mowa inauguracyjna. Przewodnika naukowego z r. 1874. t. II. str. 371—387 (Zeszyt Listopadowy). Lwów, 8.vo.

51) Zwyczajem przyjętym w Uniwersytecie lwowskim, rozpoczęcie roku szkolnego bywa inaugurowane uroczystem przemówieniem jednego z professorów. Autor w r. b. wziął pochop z tego zwyczaju, aby skreślić, „rozwój ekonomii spółecznej w XIX stóleciu i jej stan w bieżącej chwili.“ Zadanie było niełatwem — ujęcie w ramy jednego wykładu historyi rozwoju każdej umiejętności natrafia na trudności, a cóż dopiero umiejętności tak żywotnej jak ekonomia społeczna, potrącającej po kolei o najważniejsze sprawy wieku, o jego najdrażliwsze problemata. Jeżeli zatem utrzymujemy z góry, że przedmiot nie zdaje nam się być trafnie obranym do mowy inauguracyjnej, to chętnie przyznamy, że autor zrobił z niego co mógł, to jest, że przedstawił rzecz swoją zajmująco, zwięźle i wiernie z prawdą. Autor jest gorącym zwolennikiem szkoły socyalistów z katedry — o której wspominając, wypadało, zdaniem naszem, przez wzgląd na słuchaczów, określić krytycznie stosunek, jaki zachodzi między tymi, co dali tej szkole początek, a doktrynerami z rodzaju Maurusa, którzy jej tendencye doprowadzili do absurdum — inaczej z czystem ziarnem zachwala się i wiele plewy. Predylekcyę autora do szkoły socyalistów z katedry można poniekąd tem wytłómaczyć, iż bierze on ją za jedno — zdaniem naszem mylnie — ze szkołą historyczno-etyczną. Ta ostatnia, do której zaliczają się najznakomitsi ekonomiści Niemiec, uderzyła pierwsza w materyalistyczny kierunek A. Smitha i w teoryę o bezwzględnych prawach ekonomicznych, obowiązujących zawsze i wszędzie; ona na lat kilkanaście przed szkołą socyalistów z katedry wykazywała wzrastające z rozwojem spółeczeństwa zadanie państwa; ona wreszcie, gdy wśród sporów między zwolennikami Lasalla a zwolennikami Schultzego z Delitsch wytworzyło się stronnictwo środkowe, owi właśnie socyaliści z katedry, odstąpiła mu kontyngens najznakomitszych członków swoich (por. Schönberg: Die deutsche Freihandelsparthei etc. w Zeitschrift für Staatswissenschaften z r. 1873.) — ale w rozwoju umiejętności ze szkołą socyalistów z katedry za jedno i tož samo uważaną być nie może. Szkoła historyczno-etyczna, robiąc wyłom w systemie A. Smitha, torowała drogę szkole socyalistów z katedry — tej ostatniej przyszło tylko sformułować program praktyczny. Że ten program nie zupełnie licuje z poglądami szkoły historyczno-etycznej, dowód i w tem, iż jedyna racyonalna a głęboka jego krytyka, wyszła z pod pióra znakomitego reprezentanta szkoły historycznej, z pod pióra Rodbertusa. — Autor wyrzuca Francuzom i Anglikom, iż nie pojmują ważności kwestyj przez szkołę socyalistów z katedry poruszonych. Zarzut byłby słusznym, gdyby owych narodów nie usprawiedliwiała ta okoliczność, iż najważniejszą część programatu socyalistów z katedry, tę mianowicie, która dotyczy ustawodawstwa fabrycznego, wprowadziły one u siebie poprzednio już w wykonanie. Francuzkie conseils des prudhommes datują jeszcze z r. 1806, angielskie izby pojednania i rozjemstwa z r. 1867. Prawo wolnego stowarzyszania się przyznaje robotnikom we Francyi ustawa z r. 1864, w Anglii ustawa jeszcze w r. 1824. Warunki pracy dzieci po fabrykach określa we Francyi ustawa jeszcze w r. 1841, terminatorów bierze w tym kraju w opiekę ustawa w r. 1851. Ustawy t. zw. fabryczne z r. 1867, otaczają w Anglii najtroskliwszą pieczą robotników nie tylko pracujących po fabrykach i warsztatach, ale nawet po domach. W Niemczech, gdzie najpiękniejsze ustawy istniały tylko na papierze, a przemysł fabryczny z każdym dniem wzrastał, agitacya za rozciągnięciem opieki prawnej nad położeniem robotników przychodziła w samą porę na porządek dzienny — we Francyi i w Anglii nie było dla niej pola. — W ogóle sądy autora o ekonomistach francuzkich są przesadnie surowe. Bastiat jest dla niego — zapewne na wiarę Dühringa — niczem innem, jak tylko „plagiatorem,“ który „skopiował“ Careya — lubo autorowi wiadomo najlepiej z własnego doświadczenia, iż nawet u piszących rozdzielonych od siebie znaczną nieraz przestrzenią miejsca lub czasu, szlaki pracy umysłowej często do jednych i tych samych doprowadzają rezultatów. Wszakżeż rozprawa dawniejsza autora p. t. „Procent a czynsz“ w wielu punktach zgadza się z poglądami, które Dühring równocześnie w swoim kursie wygłaszał — jednakowoż byłoby oszczerstwem, gdyby ktokolwiek przeciw jednemu lub drugiemu z zarzutem plagiatu wystąpił. — J. B. Say, który rozszerzył granice dóbr ekonomicznych wciągając w ich obręb całą sferę usług osobistych, który wystąpił z ową nieporównaną teoryą o drogach odbytu, Say, któremu Niemiec Rau przyznaje, iż „więcej niż ktokolwiek inny przyczynił się do rozwoju umiejętności ekonomicznej“ — dla autora jest tylko „ślepym, lichym naśladowcą szkodzkiego (!) mistrza.“ Mniej nas zadziwił sąd tak surowy, gdyśmy znaleźli później, iż autor do najcelniejszych ekonomistów tegoczesnych we Francyi obok Michała Chevalier i Dunoyera zalicza także i — Batbiego! Dowodzi to, iż autorowi, który przyswoił sobie nader gruntowną znajomość nowszej literatury ekonomicznej niemieckiej, literatura ekonomiczna i w ogóle ruch ekonomiczny za Wogezami w mniej dostacznej znane są mierze. Wnosić to możemy i z dalszego twierdzenia autora, jakoby unie robotników (trades unions) w Anglii wrogiemi były Internacyonalowi; a wszakże zawdzięcza on im nie tylko wzór swej własnej organizacyi, ale i koryfeuszów swoich, którzy po większej części wychodzili z zastępu naczelników ruchu związkowego. Applegarth np., wysławiany w dziele hr. Paryża sekretarz związku cieśli, był następnie przez lat kilka głową Internacyonala. (por. Leroy-Beaulieu: La question ouvriére au XIX s. 1872 str. 148 sq.) — Zakończenie rozprawy wyjaśnia nam poniekąd powód owego przesadnego zapału autora dla Niemców. Wypadało umiejętność niemiecką postawić na piedestale tak wysokim, aby, bez narażenia się na zarzut stronniczości, wystąpić do walki z zuchwałem twierdzeniem w głośnej swojego czasu broszurze Dumreichera, iż „kto nie uczy się po niemiecku, zrzeka się naukowego rozwoju.“ Walkę tę podjął autor ze słusznem oburzeniem, a obok tego z wielkiem życiem i ciepłem — i ona to rozprawie jedna uznanie nie tylko w specyalności autora, ale i w bieżącej literaturze politycznej. *B—k.*

Nauki przyrodnicze.

L. Wajgel: **Pajęczaki galicyjskie** (Arachnoidea Haliciae). Kołomyja 1874. str. 36. 8vo.

52] Praca, jaką przedsięwziął p. W., streszczająca co dotąd dla galicyjskiej fauny pajęczej zrobiono, należycie wykonana byłaby prawdziwie pożyteczną dla zajmujących się pajęczakami. O broszurze p. W. niestety powiedzień tego nie możemy. Zamiast wykazu sporządzonego według najnowszego układu z zastosowaniem dzisiaj ogólnie przyjętej terminologii, zamiast wyjaśnienia wątpliwości, jakie dla niektórych gatunków zachodzą, słowem zamiast obrobienia dotychczas podanych wiadomości tak jak tego obecne stanowisko nauki wymaga, znajdujemy w niej materjał całkowicie surowy. Gatunki wątpliwe, jedne opuszczone, inne podane bez żadnego zastrzeżenia; p. W. opuścił nietylko wiele miejscowości, ale nawet kilka pewnych gatunków, a w dodatku jeszcze przytoczył sześć gatunków po dwakroć, pod dwiema różnemi nazwami.

Przy rodzinach i rodzajach autor wspomina o ich cechach i o sposobie życia odnośnych gatunków. Ustępy te, z wyjątkiem kilku wierszy, są streszczone lub przetłumaczone z Simona „Histoire nat. des Araignées“ inne zaś z Ausserera „Die Arachniden Tirols.“ Nie tylko nie dają one jasnego wyobrażenia o rzeczy (przy rodzajach nie uwzględnił p. W. prawie żadnej innej cechy oprócz ułożenia oczu), lecz liczne zawierają błędy, które autor przyjął od Simona, lub sam takowe popełnił przy tłómaczeniu. Z wywodów łacińskich nazw rodzajowych, wyjętych po większej części z Simona, niemal połowa jest błędna; nazwy zaś polskie tworzył p. W., opierając się często na mylnem tłómaczeniu nazw łacińskich, i nie uwzględnił wcale nazw już istniejących.

W przedmowie autor podnosi własne zasługi kosztem innych przyrodników, podając liczby nie zgodne z rzeczywistością. Tak więc p. W. miał ogłosić $^3/_5$ gatunków dotąd znalezionych w Galicyi, a Prof. Nowicki z innemi członkami kom. fizyograficznej miał zebrać tylko $^1/_5$, gdy przeciwnie jeden spis Prof. Nowickiego (4ty z rzędu) obejmuje 187 gatunków, a obydwa spisy p. W. zaledwie 154. Autor starał się obliczyć ile mniej więcej w Galicyi żyje pajęczaków, lecz i w tem mocno się pomylił, gdyż dzisiaj po ukazaniu się nowego spisu Prof. Nowickiego liczba pajęczaków już przeszła granicę przez p. W. zakreśloną.

Broszura więc p. W. nie odpowiada dzisiejszemu stanowisku nauki, nie posuwa jej naprzód, lecz podaje tylko rzeczy już znane, i to podaje niedokładnie, często nawet bardzo mylnie. Forma jej zewnętrzna bardzo zaniedbana, styl często ciemny a język szpecą liczne błędy gramatyczne. Widoczną zatem rzeczą, iż pracy p. W. w literaturze przyrodniczej dość poślednie należy się stanowisko. *W. K.*

Nauki lekarskie.

Dr. I. Hofmokl (docent chirurgii we Wiedniu): **Ueber Callusbildung.** Medizinische Jahrbücher. Wiedeń 1874. Zeszyt III u. IV. i osobne odbicie.

53] Chcąc krytykować rozprawę mającą na celu histologiczny rozwój jakiejś tkaniny, trzebaby samemu wziąć drobnowid i ślad w ślad iść za autorem, aby wykazać jego prawdziwe albo mylne zapatrywania na rzecz, którą traktuje. Ztąd też pochodzi ta znaczna ilość rozpraw omawiających rzecz jednę i tę samą.

Tych kilka słów musieliśmy wypowiedzieć na usprawiedliwienie nasze, że niniejszej pracy niekrytykujemy, tylko ją streszczamy.

Dr. H. przechodzi najprzód dokładnie literaturę odpowiednią, usprawiedliwia się następnie, iż musi dla lepszego zrozumienia przedstawić studyum tworzenia się kości w ogóle, a dopiero wyszczególnia sposób badania kostniny i wyniki tegoż. H. nietylko stwierdza zdania jednej grupy swych poprzedników, którzy twierdzą, że do wytworzenia kostniny przyczyniają się okostna, szpik kostny i istota korowa, ale nadto przypisuje komórkom kostnym wielką rolę w całej sprawie, którą uważa tylko jako powrót wykształconej już kości do okresu rozwoju: tak tu jak i tam powstają z przestworów zawierających komórki chrząstkowe, przestwory szpikowe a do około nich osadza się istota wapienna; najwybitniej dzieje się to jednak od strony okostny, po której to stronie i kostnina zazwyczaj wyżej sięga.

Jakkolwiek pracy tej niemożna odmówić gruntowności, to nie możemy wstrzymać się od uwagi, że rozprawka ta, chociaż mieszcząca się zaledwie na kilkunastu kartkach, czyta się bardzo powoli i z natężeniem, właśnie z powodu skupienia wielu suchych szczegółów w tak szczupłem miejscu. *A. O.*

Dr. Stan. Domański: (Docent Uniw. Jag.) **O rozpoznawaniu i leczeniu porażeń**, tudzież o znaczeniu przypadów im towarzyszących. Przegląd lekarski, Kraków 1874, N. 1—4 i 38—40 i osobne odbicie.

54] W pracy tej zamierzył autor zestawić znane lecz po rozmaitych dziełach i broszurach porozrzucane wiadomości o rozpoznawaniu i leczeniu porażeń, dodając tu i owdzie własne tłumaczenie niewyjaśnionych dotychczas przypadów. I wywiązał się ze swego zadania z wielką znajomością przedmiotu.

Szkoda tylko, że Dr. D. tak dokładnie obznajmiony z obecnem stanowiskiem nauki wykluczył zupełnie ze swej pracy aitiologią porażeń, która przy tegoczesnym zwrocie terapii od postępowania przypadowego do przyczynowego na tem większą zasługuje uwagę. A przytoczymy tu na dowód porażenia kiłowe, i uciskowe, w których leczenie jest prawie wyłącznie przyczynowem, dalej por. z zatrucia przewlekłego ołowiem, por. gośćcowe, w których nie możemy ograniczać się jedynie do leczenia przypadowego. Bo i cóż pomożemy cierpiącemu porażenie ołowiowe mimo starannego leczenia przypadowego, jeżeli nieprzerwanie pozostawać będzie pod niekorzystnym wpływem ołowiu? Zresztą autor mówi tylko o rozpoznawaniu umiejscowienia przyczyny porażenia, a nie o rozpoznawaniu przyczyny samej.

Nie zupełnie zgadzamy się ze zdaniem autora, że „wszystkie porażenia są nerwopatyczne, a miana porażeń osteopatycznych, artropatycznych i myopatycznych polegają na pomięszaniu ze sobą pojęć;“ — nikt bowiem nie zaliczy obecnie bezwładu odnogi z powodu zmiany w stawie lub w kości, do porażeń, lecz tem trudniejszem często bywa rozróżnienie por. myopatycznego od neuropatycznych, i jedynie dokładne badanie fizykalne może tu rozstrzygać, a i to nie zawsze. Lekarz praktyczny badający chorego w okresie mniej lub więcej rozwiniętej choroby, gdy zmiany układu

nerwowego wywarły już swój wpływ na mięśnie, i na odwrót, a nie posiadający przyrządów fizykalnych, nie odróżnia zwykle poraż. myopatycznego od neuropatycznego, chociaż w nauce rozumiemy przez porażenie w ścisłem tego słowa znaczeniu bezwład lub niedowład sprowadzony zmianą układu nerwowego. Autor powinien był zatem w ten sposób opisać porażenie, lecz nie stawiać pewnika, że wszystkie porażenia są nerwopatyczne, zwłaszcza, gdy sam przyznaje, że „nie rzadkie są porażenia, których przyczyny anatomicznej i jej siedziby nie znamy.“

Autor dzieli porażenia na mózgowe, rdzeniopacierzowe i obwodowe, i opisuje przypady tychże z wyczerpującą dokładnością. Jak skoro obalono do niedawna rozpowszechnione zdanie Flourensa, jakoby w półkulach mózgowych nie było odrębnych ognisk dla pojedynczych czynności, i że pozostawiona choćby tylko część mózgu zupełnie całość zastąpić może, skrzętne gromadzenie materyałów klinicznych jest zupełnie na czasie, ażeby obfite doświadczenia zebrane na zwierzętach przez Hitziga, Nothnagla i innych wprowadzić w ściślejszy związek z czynnościami mózgu ludzkiego. Ta dążność zlokalizowania pewnych czynności na półkulach mózgowych za pomocą obserwacyj klinicznych przebijać się zaczyna w nowszej literaturze. Dr. D. nie pominął nadarzającej mu się sposobności, aby w dziale o porażeniach mózgowych wykazać właśnie ową dążność, nawiązując swe uwagi do dołączonego przypadku obrażenia czaszki, i spostrzeżeń statystycznych Simona. Słuszną jednak uwagą czyni W e r n h e r Prof. chir. w Giessen (Virchowa Archiv tom 56ty), jak dalece trudną jest rzeczą porównywanie doświadczeń uczynionych na zwierzętach z materyałem klinicznym. Obserwacye nasze urazów czaszki zawsze bywają zamącone ubocznemi okolicznościami, i nie obojętną jest rzeczą, czy uraz był przyczyną wstrząśnienia, zgniecenia lub zmiażdżenia pewnej części mózgu. Przypadek przytoczony przez autora, w którym przypuszcza zawiąd zatoki sierpowatej, po stwierdzonem przedarciu jej, nie bardzo może posłużyć jako dowód umiejscowienia pewnych czynności mózgu; zmiana bowiem chorobowa (zdaniem autora najprawdopodobniej nieprawidłowe krążenie krwi) obejmuje cały płat czołowy, a wiadomo z doświadczeń Hitziga, jak małemi są ogniska dla pewnych czynności. Z tego też powodu słusznie szan. autor nie wysnuwa zbyt śmiałych wniosków z swego doświadczenia, sądząc: „że w płatach czołowych znajdują się ośrodki nerwowe dla mowy i ruchów odnóg dolnych.“

Opierając się na doświadczeniu, że w chorobach (zapalnych) ucha środkowego występuje zwykle pewne osłabienie władz umysłowych, mianowicie pojętności i pamięci; dalej, że w czasie rozwijania się ropniów kości skroniowej (na wewnętrznej jej powierzchni) również ciężkie pojawiają się przypady umysłowe, a w końcu opierając się na Simona statystyce obrażeń czaszki, z których wynika, że obrażenia mózgu w okolicy skroniowej najczęściej przebiegają śród objawów śpiączki ogólnej, przypuszcza autor jako bardzo prawdopodobne, że płaty skroniowe są siedliskiem narzędzi psychicznych.

Ażeby wytłumaczyć, dlaczego w chorobach mózgu porażenie umiarowe objawia się najczęściej w postaci poraż. odnóg dolnych, przypuszcza autor, że środek dla kierowania ruchami tych kończyn znajduje się bliżej powierzchni mózgu, niż dla górnych (?), łatwiej więc ulega urazom, i innym zmianom chorobowym, biorącym swój początek od kości lub opon; stosunki anatomiczne w tak zwanym ogonie końskim tłumaczą nam, dlaczego porażenia obwodowe w kończynach dolnych często do obydwu odnóg się odnoszą. Tłumaczenie autora, dla czego porażenia odnóg dolnych poprzeczne mają najczęściej swe źródło w rdzeniu pacierzowym, pomijam, gdyż autor podaje je, jak sam przyznaje, w braku uzasadnionych mniemań, nie przywiązując do niego wielkiej wagi.

Treściwie i jasno wytłumaczył autor na zasadzie badań fizyologicznych Budge'go, dla czego porażeniom rdzeniopacierzowym towarzyszyć może bądź wstrzymanie, bądź odpływanie mimowolne moczu, bądź nakoniec niemożność oddania moczu dobrowolnie w połączeniu z mimowolnem jego odpływaniem.

W dziale o porażeniach obwodowych zwraca autor uwagę na szczegół pominięty przez Eulenburga, a zaprzeczony przez Hassego, że w porażeniach obwodowych gośćcowych nerwu twarzowego czucie po stronie porażonej znacznie jest przytępionem, opierając swe twierdzenie na doświadczeniu w dwudziestu kilku przypadkach. Obniżenie ciepłoty w porażeniach obwodowych — w późniejszych okresach występujące — wyprowadza szan. autor ze zmiany w krążeniu i niedostatecznego odżywiania z przyczyn upośledzenia czynności włókien odżywczych (czego przy poraż. mózgowych niema). Ztąd wypływa konieczność przy leczeniu porażeń obwodowych mierzenia ciepłoty miejscowej, gdyż – zdaniem autora — dopóki ciepłota nie staje się prawidłową, dopóty nie ma mowy o zupełnem wyleczeniu.

W drugiej części swej pracy, zawierającej leczenie porażeń, zaleca autor strychnin, jako środek skuteczny w porażeniach odbytnicy, a szczególnie pęcherza moczowego. Zresztą terapia autora nie wyróżnia się od leczenia dotąd stósowanego. *I. M.*

Językoznawstwo i historya literatury.

M a k s M ü l l e r: Wykłady o umiejętności języka. Przetłomaczył Adolf D y g a s i ń s k i. Tom I. Kraków. Nakład Dr. Gumplowicza 1875. 8vo. Str. 370.

55] Maks Müller, rodem Niemiec, a obecnie profesor uniwersytetu Oxforckiego, należy do najznakomitszych lingwistów. Pierwsza serya odczytów jego mianych w Oxfordzie 1861 r., zaraz tamże wydanych, zjednała mu nietylko nagrodę akademii w Paryżu, ale także powszechne uznanie całego uczonego świata, czego dowodem obszerna i gruntowna krytyka przez Barthélemy St. Hilaire w Journal des Savants. W Anglii wyczerpano w przeciągu 2 lat 3 wydania tych odczytów; nadto wyszło wydanie oryginału w Ameryce, a w Europie tłómaczenie fracuzkie, włoskie, duńskie i niemieckie. W roku 1863 wyszła druga serya, a w kilka lat później trzecia.

Dobre tłómaczenie tak znakomitego dzieła więcej się przysłuży umiejętności i literaturze ojczystej, niż kilka tuzinów niby oryginalnych gramatyk w guście Żochowskiego lub Deszkiewicza. Dla nas ma ono i z tego jeszcze względu szczególniejsze znaczenie, że umiejętność języka, tak mało znaną jest u nas nawet tym, co z zawodu trudnią się filologią i piszą gramatyki i rozprawy lingwistyczne.

Tłomaczenie pierwszej seryi odczytów, które mamy

przed sobą, ma wprawdzie niektóre zalety, atoli nie możemy go nazwać zupełnie dobrem; nie dorównywa ono tłómaczeniu francuzkiemu, a jeszcze mniej wybornemu przekładowi niemieckiemu Böttgera.

Najprzód rażą nas używane zbyt często a bez potrzeby wyrazy obce, np. komunikować, gwarantować, oppozycya, doktryna, produkowanie, pryncypy, vice versa i t. p., których używanie w dziele naukowem tylko konieczna potrzeba może usprawiedliwić. Rażą nas także niektóre wcale nie polskie wyrażenia, jak np. „mówić plattdeutschem" (str. 47.), „wydawać fakty" (str. 319.), „mowa przypuszcza tylko rozwój" zamiast: zdolną jest tylko rozwoju, albo: może się tylko rozwijać. Francuzkie jargon nie jest gwar; między wiedzą a umiejętnością znaczna zachodzi różnica.....

Lecz, co gorsza, w niektórych miejscach nie zrozumiał tłomacz oryginału. Tak np. w drugim odczycie na str. 31. czytamy: „według tego wszystkiego mogłoby się zdawać, że życie historyczne przemieszkiwało w języku, i jak gdyby wola człowieka i potęga czasu chciały opowiadać historyą, jeżeli nie swojej (powinno być: jego) wewnętrznej istoty, to przynajmniej zewnętrznych objawów swoich (!)." Oczywiście w obu wskazanych miejscach uważał tłómacz mylnie angielski zaimek wskazujący za zwrotny i odniósł go do rzeczowników „wola," „potęga" zamiast do rzeczownika „język," i tym sposobem wykrzywił zupełnie myśl oryginału. Coś podobnego spotykamy na str. 56, gdzie mowa jest o dyalektach a gdzie tłómacz nie zrozumiał oryginału, i dalej na str. 57., gdzie niemieckie „über Bord werfen" przez „o brzeg rzucić," oddano, znów wykrzywiając zupełnie myśl oryginału. Podobne niezrozumienie oryginału napotykamy na niejednem miejscu.

Co tłómacz na str. 331. mówi, że „władza abstrahowania jest im (zwierętom) wrodzoną," jeżeli nie jest błędem drukarskim, zamiast „nie jest im wrodzoną," to świadczyłoby o bardzo pobieżnem tłómaczeniu.

W końcu pozwalamy sobie jeszcze jednę uwagę. Już sama forma dzieła — forma odczytów, wskazuje, że autor nie tyle ludzi zawodowych, ile szerszą intelligentną publiczność miał na względzie. A że publiczność ta inną jest w Anglii, a inną gdzie indziej, dla tego wypada tłómaczowi dodać do oryginału nie jedno, coby dzieło w myśl autora uczyniło przystępnem dla tej szerszej publiczności. Zrozumiał to dobrze tłómacz niemiecki i obok przykładów, czerpanych z języka angielskiego a zawartych w oryginale, pododawał przykłady z języka niemieckiego, a przez to uczynił Odczyty, przeznaczone pierwotnie dla angielskiego audytoryum, przystępnemi i dla szerszej niemieckiej publiczności. To samo należało uczynić polskiemu tłomaczowi, złaszcza że autor rzadko gdzie odwołuje się do języka słowiańskiego, a sanskryt, greka, łacina, gotyka i angielszczyzna albo wcale nie albo tylko niedostatecznie znane są naszej szerszej publiczności. Prawda, że na takie tłómaczenie zdobyć się może tylko ten, co sam w umiejętności języka pracuje. *B. T*

Dr. Zygmunt Samolewicz. Studya Platońskie. I. Hippias Większy. W Pamiętniku Akad. Umiej., Tomie I. W Krakowie, 1874. 4⁰. str. 1—23.

56] Niema dotychczas pracy, któraby gruntownie i całkiem wyczerpująco rozebrała kwestyę, czyli znany dyalog Hippiasz Większy jest dziełem nieautentycznem, które się pod powagę imienia Platona podszyło. Nawet ostatnia ze znanych nam prac niemieckich, a od poprzednich w tym względzie obszerniejsza, której autorem jest Dr. S. Ribbing: *Genetische Darstellung der Platon. Ideenlehre, Leipzig 1863/4.* w IIgim t. str. 133—137 nietylko rzeczy nierozstrzygnęła, ale nawet niezebrała wszystkich wywodów, które rozmaici uczeni po różnych miejscach podnieśli za albo przeciw wspomnianemu pismu. Zebrać te wywody, zważyć je i ocenić, oto cel, jaki sobie p. S. wytknął. Idąc za zdaniem znakomitszych powag, jak Rittera, Zellera, Ueberwega, a w części i Schleiermachera oświadczył się przeciw autentyczności, opierając się najpierw na tem, że Arystoteles mówiąc o innym Hippiaszu t. j. o Mniejszym niedodaje mu tego właśnie ostatniego przydomka, a zatem o istnieniu drugiego, Większego, prawdopodobnie nie wiedział, dalej zaś na tem, że Hippiasz Większy jest pracą, jak na Platona za słabą i w szeregu dyalogów platońskich w żadnem miejscu umieścić się nie da.

Przeciw sposobowi, w jaki p. S. te zarzuty po różnych dziełach niemieckich podane samoistnie zestawił, niemielibyśmy nic do powiedzenia, chyba to, że p. S. uważając powyższe zarzuty za zupełnie dostateczne i przekonywające, okoliczności przemawiających za autentycznością dyjalogu z równą skrzętnością nie zebrał i nie rozwinął.

Przyznając jednak panu S., że przez zebranie rozrzuconych rzeczy na jedno miejsce i to w dobrym i przejrzystym porządku zasłużył się i przyniósł pożytek osobliwie dla naszej literatury, która o Platonie oprócz drobnych rozprawek i tłómaczeń żadnych specyjalnych nieposiada studyów, nie możemy przecież powiedzieć, żeby praca ta była ważniejszym krokiem naprzód w rozwoju umieję ności. Trudniej to zapewne w filologii klasycznej znaleść jakąś stronę dotychczas nieobrobioną, ale w Hippiaszu Większym strona taka rzeczywiście dla krytyka rozbierającego jego nieautentyczność istniała. Podniesione bowiem przez p. S. zarzuty mogą służyć na poparcie czyjegoś podejrzenia, że Hippiasz Większy jest podrobionym, ale niestanowią niezbitego i zupełnie wystarczającego dowodu. Bylibyśmy zaś o wiele bliżej takiego wyniku, gdyby ktoś — czego nikt dotąd ile wiemy nie uczynił — zbadał sposoby mówienia, ułożenie okresów, szyk słów i tym podobne lingwistyczne i stylistyczne znamiona Hippiasza Większego, ażeby je następnie z takiemiż, dziś już w części znanemi, właściwościami dyalogów platońskich niewątpliwie autentycznych porównał i różnice wykazał. Jeżeli w czem, to w języku swoim i stylu musiał się zdradzić ten, co dyalog podrobił.

Błędy w cytatach przypisujemy nie dokładnej korrekcie, która niemile razi w pierwszych zapewne w pośpiechu drukowanych pismach Akademii Umiejętności.

L. K.

Dr. Zygmunt Samolewicz. Starożytna Greczynka. W Bibliotece Warszawskiej, 1874. Tom IV. Listopad, str. 153—183.

57] Od rozprawy zamierzającej spopularyzować wiadomości osiągnięte na polu naukowych badań, nie mamy prawa żądać ścisłego wyczerpnięcia rzeczy i samodzielnego sądu. Lecz trudno również wymagać od recenzenta, żeby znał wszystkie popularne charaktery-

styki kobiety greckiej w obcych literaturach i na tej podstawie zdołał wykazać, o ile się p. S. w przedstawieniu tego powabnego przedmiotu wśród innych współzawodników na tem polu odznaczył. Rozprawa pana S. umieszczona w piśmie na szerszą publiczność obliczonem robi na nas w każdym razie wrażenie, że jej autor zebrał szczegóły z obszerniejszych dobrych książek o Greczynce traktujących i przedstawił je zrozumiale, językiem zwięzłym i czystym. Niektóre ustępy dobrze oddane przełożył autor wolno z Beckera Chariklesa (np. str. 167 i 178) opuszczając w nich, co niewtajemniczonych w klasyczną filologią obchodzić nie mogło. Do pism jednak pomocniczych, które na str. 154 wymienia, dodalibyśmy bardzo udatną rozprawkę W. S. Teuffla: Die Stellung der Frauen in der griechischen Poesie in Studien und Charakteristiken zur griech. u. röm. Litteraturgesch. Leipzig. 1871, str. 45—74 i przytoczone przez tegoż na str. 45 Mählego i Köchlego prace.

Wychodząc z założenia, że czasy bohaterskie Grecyi całkiem są od późniejszych odrębne, przedstawił autor naprzód kilka wybitniejszych postaci kobiecych z Homera, poczem przeszedł odrazu do tragików; a przecież można było, jakkolwiek w popularnem piśmie, wtrącić jeszcze odmienne całkiem pojęcie Hezyoda o powołaniu kobiety, a niemniej uwzględnić liryków, mniej może zmysłowego Mimnermosa, lecz za to więcej satyrycznych Iambografów, a w dalszym ciągu rozprawy zwrócić uwagę i na Teokryta sielanki. Według naszego zdania byłby tam autor znalazł kilka ciekawych rysów. U Ajschylosa są nietylko, jak się autor wyraża, wielkie i potężne charaktery, bo w chórach jego tragedyj Siedmiu przeciw Tebom i Prometenszu są kobiety jakby przedstawicielkami właśnie skromności i lękliwości w przeciwstawieniu do zuchwałych charakterów męzkich. Za to dobrze i treściwie scharakteryzował autor kobiety w tragedyach Sofoklesa i na tem zakończył obraz ideałów niewiast, które sobie potworzyli greccy poeci. Zwracając się ku rzeczywistości historycznej wyłuszczył trafnie różnicę między Spartanką a Atenką i wyraźnie uwydatnił ich główne rysy. Do skreślenia zaś kobiety w Atenach, do czego wiele źródeł się przechowało, korzystał z Eurypidesa, komików i innych pisarzy i dał dokładny i wszechstronny obraz, który nam przedstawia Atenkę w różnych porach jej życia i w stosunkach z całem otoczeniem. Umiał przy tem zręcznie unikać nietylko rzeczy rażących naszą szerszą publiczność, nawet o heterze wspominając, ale także pilnie wybrać, co się da jako pewnik postawić z pominięciem rzeczy dotąd dostatecznie nierozstrzygniętych. Co się tyczy innych ludów greckich po za Atenami i Spartą, za mało posiadamy źródeł, aby ich życie rozpoznać, co jednak dało się powiedzieć, mianowicie o głównej przedstawicielce ajolskiego rodu Safonie, i tego nieomieszkał autor rozwinąć. *L. K.*

Powieści.

Jan Zacharyasiewicz: *Szczęście kobiece*, powieść. Lwów 1874. 8vo. Str. 294.

Pomimo tylu powieści, któremi w ostatnich latach wydawcy zapełniali i przepełniali pisma peryodyczne, a nawet fejletony dzienników politycznych, dobra powieść jest u nas prawdziwą rzadkością. I nic dziwnego! Lepszych powieściarzy naszych na palcach jednej ręki policzyć można, a każde pismo dla zwabienia prenumeratorów chce mieć ich prace, bo publiczność szuka tych nazwisk i z niedowierzaniem bierze do ręki powieści nieznajomych autorów. Powieściarze ci więc, zarzucani zewsząd żądaniami, piszą z gorączkowym pośpiechem i produkują do roku po kilka powieści, pisząc je czasem prawie równocześnie. Wobec takiego pośpiechu, który zaledwie pozwala na jakie takie obmyślenie głównego planu, powieść genialna, któraby była rodzajem świąt uroczystych w kalendarzu powieściowym, jest prawie niemożebną. To też już nie mamy nawet pretensyi do takich utworów; chcielibyśmy przynajmniej, aby to nie była rzecz sfabrykowana z odpadków i reminiscencyj znanych już tematów, figur i opisów, ale coś pożywnego i smacznego, napisanego z pewnym planem i mającego jaką taką racyą bytu czy to pod względem artystycznego obrobienia, czy też zdrowej tendencyi. Powieść, która ma takie zalety, ma prawo domagać się od krytyki ocenienia.

Dla tych przyczyn nie możemy pominąć milczeniem powieści jednego z celniejszych autorów naszych, lubo ta już dzisiaj nie jest nowością dla czytelników. Nie mogliśmy o niej pisać wcześniej; sądzimy jednak, że lepiej późno jak nigdy, a rozpowszechnienie tej powieści po czytelniach ułatwia o tyle nasze zadanie, że będziemy mówić z czytelnikami o rzeczy znanej.

„Szczęście kobiece“ należy do tych powieści Zacharyasiewicza, które moglibysmy nazwać rodzajowemi, dla odróżnienia ich od tych, w których kwestye czy to społeczne, czy polityczne odgrywają główną rolę i nadają im charakter historyczny. Między aktami ważniejszych wypadków dziejowych, autor schodzi z areny politycznej w sfery codziennego życia, robi studya, portrety, bada charaktery i anatomizuje subtelne odcienia duszy ludzkiej. Między „Świętym Jurem,“ „Na kresach“, „Zakrytemi kartami“, pisze taką „Wiktoryą Reginę“, „Pamiętnik narzeczonej“ lub „Szczęście kobiece“.

Wprawdzie w tej ostatniej powieści wypadki krajowe wchodzą w ramy obrazu; ale stanowią one raczej tło jego i nie wpływają bynajmniej na losy głównych osób, mogłyby one rozwinąć się i bez tych wypadków. Podobną rolę grają tutaj także postacie męzkie. Są to raczej portrety pięknie namalowane, ale mało działające. Głównie występują tu na pierwszym planie dwa typy kobiece: Adelajda i Olga. Jedna z nich posąg o klasycznych rysach, klasycznym spokoju, kobieta niezwykłej miary, niepowszednia, z siłą woli męzką i poważnym nastrojem duszy, która sobie postawiła za cel życia podniesienie upadłej wielkości i świetności swej rodziny, choćby ofiarą własnego serca. Druga: rafaelowski aniołek ze złotemi włoskami, istotka pełna wdzięku, uczucia, ciepła i poetycznych światełek. Autor w przebiegu powieści rozwijając przed nami te dwa charaktery, odpowiada ich czynami na pytanie: na czem polega szczęście kobiece?

U Adelajdy polega ono na poświęceniu własnych marzeń, upodobań, skłonności serca, tej jednej dumnej myśli, tj. podniesienia rodu swego i utrzymania w nieskalanej czystości tarczy herbowej. Życie jej jest ciągłem poświęceniem; ale ponieważ poświęca się dla urojonej mary, a przynajmniej dla sprawy, której spełnienie leży po za obrębem kobiecej natury i działalności; więc poświęcenie to nie tylko że staje się bezowocnem, ale popycha ją z jednej kolizyi w drugą. Dla ratowa-

nia zrujnowanej rodziny swojej wyrzeka się miłości kuzynka swego, dlatego tylko, że był ubogi; a gdy kuzynek ten zwrócił swój afekt do Olgi i chce się z nią żenić, Adelajda rozrywa ten stosunek, dlatego, że małżeństwo takie wydaje jej się mezaliansem i bez skrupułu poświęca szczęście swojej przyjaciółki, byle ratować honor swej rodziny. Dlatego samego powodu idzie za mąż za człowieka wielkiej fortuny i pięknego nazwiska, ale starego i ułomnego. Opinia ludzka jednak inaczej ten krok osądziła i to co ona zrobiła przez poświęcenie nazwano poprostu spekulacyą, sprzedażą. Adelajda chce przekonać ludzi, że skłamali; chce w starym małżonku swoim wynaleść jakąś cnotę, zaletę, którąby mogła zastawić się przed pociskami opinii i powiedzieć jej: dla tych przymiotów pokochałam go i poszłam za niego. Tej zalety szuka w obywatelskiem życiu męża; namową swoją pcha go na drogę politycznego działania, zachęca do objęcia kierownictwa odpowiedniego jego stanowisku i urodzeniu. Chce ona tem zadowolnić swoją dumę arystokratyczną. Mąż idzie za jej namową i ginie, a złośliwa opinija palcami wskazuje na nią, mówiąc: popchnęła go do zguby, aby módz iść za młodego. Przez tego młodego rozumiano kuzynka jej. Adelajda znowu chce zadać kłam potwarzy i pomimo skłonności, jaką czuje do kuzynka, żeni go z Olgą i oddaje mu swój majątek. Jest to ostatni wysiłek poświęcenia i to stanowi jedyne jej szczęście. Inaczej pojmuje i inaczej zdobywa sobie szczęście Olga. Ona tylko kocha i wierzy. Kocha tego, który nawet nie całkiem był godnym tej miłości i wierzy wtedy nawet, gdy powinna była wątpić; i tą wiarą niezachwianą, tą miłością silną przezwycięża wszystkie przeszkody i zdobywa sobie szczęście, bo idzie za tego, którego kochała.

Taka jest przewodnia myśl tej powieści. Przedstawienie charakterów tych dwóch kobiet czy to w dyalogach, czy w opisach, czy w akcyi niewiele pozostawia do życzenia. Namalowane są one czysto, z wdziękiem i znajomością, a pomimo idealnego tu i owdzie traktowania tych postaci, nie ma w nich nieprawdy, a co nadewszystko, że nie są one zawerniksowane owym patetycznym pokostem, jakim niektórzy idealiści mażą wszystkie osoby swoich powieści począwszy od stróżów kamienicznych i dziadów odpustowych. W niektórych ustępach powieść czyta się z zajęciem, szczególniej dyalogi mają wiele wdzięku i uroku. Całość jednak powieści ma tę wadę, jaką ma tyle innych powieści pojawiających się obecnie w pismach peryodycznych, tj. że brak jej równości nastroju i koniec jej nie tylko znacznie osłabia wrażenie, jakie na nas robi rozpoczęcie powieści, ale nawet mu nie odpowiada. Jest to coś podobnego, jakby kompozytor muzyczny rozpoczął jakąś melodyą z innego tonu a skończył ją na innym. Początek powieści wykończony pracowicie i z drobiazgowością zapowiada nam coś wielkiego: tajemnicza postać Mirskiego, podejrzliwe miny karczmarza mającego jakieś konszachty z komisarzami, pokątne schadzki nieznajomych ludzi, wszystko to przygotowuje czytelnika do jakiegoś wielkiego wydarzenia; tymczasem figury te w dalszym ciągu powieści znikają bez śladu i wpływu, a wielka akcya odbywa się za kulisami. Nawet ów djabeł czerwony, o którym tyle nasłuchaliśmy się w początku powieści, przepadł bez wieści i najmniejszego znaczenia. W skutek tego powieść wygląda jak jakiś budynek z frontem bardzo pokaźnym i poważnym, do którego z tyłu dobudowano naprędce mieszkania z drzewa i pruskich ścianek. Nie zadowalnia nas to i razi tem bardziej, że w powieściach Zacharyasiewicza przyzwyczaliśmy się widzieć zawsze architektoniczny rozkład bardzo staranny i sumienny. *Bł.*

Spis nowych książek nadesłanych redakcyi.

Bączalski, Edmund, naucz. szkół realnych: Nauka rachunków w szkole ludowej. Część I. Lwów. Wild. 1875. 8°. 1 Złr. 15 cent.; do tego: Przewodnik, cent. 60.

Benoni, Dr. Karol: O nauce geografii na podstawie kartografii. Lwów. 8°. 20 cent.

Benoni, Dr. Karol: Rys geografii i historyi powszechnej, dla wyższych klas szkół średnich. T. I. Świat Starożytny. Zesz. 1 i 2. Lwów. Wild. 8°. 2 Złr.

Białecki, Antoni, prof. uniw. Warsz.: Zadanie prawa międzynarodowego i obowiązki stron wojujących. Warszawa. (Str. 52.) 16°.

Chodyński, Adam: Kościół i klasztor OO. Reformatów w Kaliszu. Warszawa. 8°. (Str. VI i 70 i 2 ryciny).

Chodyński, Adam: Kościół św. Mikołaja w Kaliszu, wspominek historyczny. Warszawa, 16°. (Str. 33 i 2 ryciny).

Engeström, Wawrzyniec hr.: Kongres antropologii i archeologii przedhistorycznej w Sztockholmie 1874 r., Sprawozdanie. Poznań, 8°. (Str. 101).

Geitler, Dr. Leopold, Prof. zu Agram: Litauische Studien. Auswahl aus den ältesten denkmälern, dialektische beispiele, lexikal. und sprachwissensch. beiträge. Prag. Mourek, 1875 8°. 3 Złr.

Helcla, Z. A, Pism pozostałych wydanie pośmiertne, staraniem Akademii Umiej. T. I. Dawne prawo prywatne polskie. W Krakowie 8°. (Str. 228).

Kauer, Antoni: Nauka fizyki i chemii dla szkół wydziałowych, przełożył Kawczyński. Część 3. Chemia. Wiedeń. Hölder 8°.

Koszczyc, W.: Wschód, ze Stambułu do Angory. Lwów, 8°. (Str. 311).

Louis Józef: O prawnem znaczeniu podpisów na wekslu. Lwów, 8°. 60 cent.

Rozprawy i sprawozd. Akad. Umiej. wydziału histor. — filozof. T. II. Kraków, 8°. 3 Złr.

Zoll: O pojęciu zobowiązania z uwzględnieniem nowej teoryi Brinza. Małecki: Karta z dziejów Uniwers. Krakow. Wisłocki: Kodex pilźnieński ortylów magdeb. Zielonacki: Zastosowanie ustaw pod względem czasu. Semkowicz: Krytyczny rozbiór IX księgi Długosza historyi pol. Sprawozdania.

Rozprawy i sprawozd. Akad. Umiej. wydziału matem. — przyrodn. T. I. Kraków, 8°.

Skiba: Teorya elektryczności promienistej. Janczewski: Przyczynki do hist. rozwoju trzęsidłowatych (Nostocaceae). Browicz: Pasorzyty roślinne w durze jelitowem. Zawilski: O trawieniu wodników węgla. Janczewski: O rurkach sitkowych w korzeniu roślin okrytoziarnowych. Pieniążek: Kilka wypadków nowotworów mięsakowych (Sarcoma). Biesiadecki: Dwa przypadki bielicy. Obaliński i Browicz: Przypadek tętniaka groniastego. Lutostański: Zarys planu prac sekcyi antropologicznej. Godlewski: O metodzie oznaczania szybkości przyswajania za pomocą obliczania pęcherzyków gazowych wydobywających się z rośliny pod wodą. Ten-że: Doświadczenia nad oddychaniem porostów. Sprawozdania.

Serwatowski, X. Waleryan: Jak mama maleńkiego Jasia religii uczyła. Zarys II. Kraków. Nowolecki, 1875. 8°. (Str. 48).

Skwarczyński, Dr. Paweł: Ustawa gminna z 12 sierpnia 1866 r. wydał.... Wyd. 3cie. Lwów. Wild. 16°. 60 cent.

Starkel, Juliusz: Zacni ludzie, książka do czytania dla młodzieży. Lwów. Wild. 8°. 1 Złr. 60 cent.

Tatomir, Łucyan: Geografia Galicyi, podręcznik dla seminar. nauczyciel. Lwów. Wild. 8°. 1 Złr. 50 cent.

Zarański, S.: O zmianach koniecznych w nauce dziejów ojczystych. Lwów. 8°. (Str. 46).

Żuliński, Dr. Józef. O znaczeniu astronomii w wychowaniu i jej nauczaniu. Lwów, 8°. 90 cent.

PP. Autorowie i nakładcy, życzący sobie, aby ich publikacye zostały wkrótce ocenionemi w Przeglądzie krytycznym, zechcą nadsyłać takowe do redakcyi zaraz po ich ogłoszeniu.

Wydawca: Adolf Otremba, księgarz. Druk W. Korneckiego. Odpowiedzialny redaktor: Prof. W. Zakrzewski.